

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1869.

Tom trzeci.



WARSZAWA.

Skład Główny w Księgarni GEBETHNERA i WOLFFA.

1869.



De. II. 1.

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa, dnia 18 (30) czerwca 1869 r.

Cenzor, J. Błeszczyński.

K. 35/46.

DZIEJE IDEAŁU.

POWIEŚĆ

Jana Zacharyasiewicza.

I.

Z PODRÓŻNYCH NOTATEK NIEZNAJOMEGO.

Zakład gospodarczy w Salzmünde, który przed kilkoma dniami zwiedziłem, stał mi jeszcze żywo przed oczyma. Byłem smutny i dziwne jakieś rozrzewnienie opanowało serce moje. Uczucia tego nie umiem z niczem porównać. Może to była zazdrość, może żal, jakiego mimowoli doznajemy patrząc na szczęśliwszych od nas. Zaiste, dla Niemców inaczej ziemia rodzi, niżeli dla nas.....

Mówią, że spokój wewnętrzny jest szczęściem. Na to jednak nie trzeba wychylać głowy poza kopce rodzinnej wioski. Trzeba żyć w tém błogiém upojeniu, że jesteśmy rozumni, a to co nas otacza, jest tak doskonałe, że już doskonalszém być nie może!

Mam sąsiada, który już liczy lat ośmdziesiąt, a prócz wycieczek do powiatowego miasteczka, nigdzie ani krokiem się nie ruszył. W mieście powiatowém dają mu złą pieczeń na obiad, a że kucharz jego lepszą w domu sporządza, wyrobił sobie pocziwy pan Błażej to święte przekonanie, że u niego wszystko jest lepsze. Dodajmy jeszcze do tego, że nieliczne otoczenie pana Błażeja nie grzeszy bynajmniej ani rozumem, ani zbytniém wykształceniem: trudno więc, aby

pan Błażej nie wierzył, że rozsądniejszego człowieka nad niego niema na całym świecie. Wiary téj i spokoju nikt mu nie odbierze. W tym względzie jeszcze przechodzi Chińczyka.

Drugi mój sąsiad był zupełnie innego zdania. Nie czuł się u siebie tak szczęśliwym, jak pan Błażej: próbował jednak być szczęśliwym we własnym domu. Rozwalił stary dwór, postawił pałacyk we włoskim guście, otoczył się służbą galonowaną, słowem robił co mógł, aby sobie stworzyć pańską atmosferę. W ciągu kilku lat sprzykrzyła mu się ta zabawka. Wyjechał za granicę i odtąd jest tego zdania, że człowiek dobrze urodzony i wychowany musi żyć za granicą, że w domu wszystko jest złe, zaczawszy od słońca które mglisto świeci, a skończywszy na ziemi, która nie rodzi wina szampańskiego.

Porównywając tych obu sąsiadów żał mi było, że nie mamy u siebie większej liczby takich, którzyby stali w pośrodku tych dwóch ludzi excentrycznych. A właśnie widok gospodarstwa w Salzmünde owionął mnie takiem bolesnem uczuciem. W obec tego, co tam widziałem, jakże ubogą wydała mi się nasza praca! Jeżeli pracujemy, to pracujemy tak, że praca nasza bardzo mało nam się wynagradza. A jeżeli mamy jakie większe zasoby, to nie uważamy ich za środek do rozprzestrzenienia pracy, ale wyrzucamy pełną garścią na użycie, po którym z autentyczną pewnością musi nastąpić bankructwo.

Takimi myślami byłem zajęty, gdy pociąg nasz zbliżał się do granicy jakiegoś państwa niemieckiego. Towarzystwo moje zmieniło się tutaj zupełnie. Zamiast milczącego i poziewającego Anglika, usiadł naprzeciw mnie jakiś żywy rozmowny Niemiec. Za Niemcem przyszło jeszcze kilku jego znajomych, a na samym ostatku wszedł do wagonu słusznego wzrostu mężczyzna o jasno blond włosach i wymownych niebieskich oczach, z dużą podróżną teką pod pachą.

Ruchliwy Niemiec rozpoczął natychmiast rozmowę ze mną. Mówiliśmy o tegoroczném winobranii, o francuzkich działach gwintowanych, marzeniach pruskich i podobnych rzeczach, które właśnie stały na porządku dziennym. Mieszali się i inni do téj rozmowy: było więc kilku przeciw jednemu. Zdania moje odmienne, nie miały najmniejszego widoku zwycięstwa. Musiałem całą rozmowę spro-

wadzić na przedmiot neutralny. A że jak powiedziałem gospodarstwo w Salzmünde stało mi ciągle przed oczyma, zacząłem więc rozprawiać z Niemcami w téj materji.

Nagadaliśmy się do syta. Dwóch Niemców usnęło, jeden wyłamał się z pod rygoru powszechnéj dyskusji i zaczął czytać jakąś gazetę, a inny wysiadł gdzieś po drodze tak cicho, żeśmy jego ubytku nie spostrzegli.

Zostałem tylko na placu sam jeden. Towarzysz mój, jasny blondyn z teką pod pachą nie brał żadnego udziału w rozmowie. Oparł głowę o ścianę i zdawał się być zamysłonym.

Gdy w wagonie cisza nastała, milczący towarzysz, którego miałem za Anglika, zwrócił do mnie swoje wymowne niebieskie oczy, patrzył z uśmiechem na mnie czas niejaki, a potem ozwał się po polsku:

— Jeżeli się nie mylę, pan jesteś Polakiem. Akcent pana w rozmowie niemieckiej każe mi tak wnosić.

Ucieszyłem się niezmiernie tém odkryciem. Przyznam się, że język mój nie przyzwyczajony do niemczyzny, zmęczył się nie lada i gorąco pragnął odświeżyć siły swoje funkcją przyrodzoną. Prócz tego widok nieznanego blondyna miał dla mnie tyle sympatycznego pociągu, że radość moja była bez granic, gdym się dowiedział że jest moim rodakiem.

Teraz z większém zajęciem zacząłem mu się przypatrywać. Twarz jego nie miała tego spokojnego, apatycznego wyrazu, właściwego blondynom. Wybijało się z niej żywsze życie, któremu wtórowało błękitne, jasno świecące oko. Włosy miał jasnego koloru, bez widocznej pretensyi, niedbale za uszy zarzucone. Mały, orzechowego koloru kapelusik jedwabny zdawał się unosić na tych włosach.

— Niezmiernie się cieszę, że w panu mogę powitać towarzysza—odpowiedziałem uradowany.

Przywitaliśmy się serdecznie, jakbyśmy już byli od wieków znajomi i zaprzyjaźnieni.

— Przyznam się panu—ozwał się po chwili mój towarzysz—że z wielką rozkoszą przysłuchiwałem się rozmowom, które prowadziłeś pan z swymi sąsiadami. Jakkolwiek po akcencie poznawałem rodaka, z różnych wniosków jednak zdawało mi się, że pan jesteś Holendrem!

— Holendrem? — zapytałem zadziwiony — dlaczego Holendrem?

— Bo pan apoteozowałeś gospodarstwo! — odparł z uśmiechem mój towarzysz. Słuchając pana, zdawałoby się, że oprócz olbrzymich buraków, dobrze utuczonych wieprzów i doskonałej fabryki sera, nie ma nic w świecie piękniejszego, idealniejszego, szczytniejszego!

Słowa te drasnęły mnie niemiłe. Żał mi było, że sympatyja moja dla nieznanego, którego w tej chwili wziąłem za próżniaka, po tych słowach znacznie ostygła. Nie kryłem się z tém wcale i odparłem:

— Nie wiem, z jakiego stanowiska zapatrujesz się pan na olbrzymie buraki, karmione wieprze i sery ementalskie. Ja skromny człowiek wiem, że wszystkie te trzy rzeczy są doskonałe, a jeszcze doskonalsze i smaczniejsze, jeśli je sami produkujemy. Zapatrywanie się podobne pańskiemu jest winą, że dzisiaj nie jesteśmy tém, czém być byliśmy powinni.

Towarzysz mój rozśmiał się właściwym jemu, napół smutnym uśmiechem.

— Bardzo się cieszę — rzekł po chwili — żem wprowadził rozmowę naszą odrazu na tak ciekawy punkt, z którego wiele rzeczy będziemy mogli obejrzeć.... Powiedz mi pan, czyś w podróży nie takiego nie ujrzał, coby godniej ten szlachetny zapak spotrzebować mogło? Czy gospodarstwo w Salzmünde....

— Zaraz się panu wytłumaczę. Wiesz pan zapewne, czém w dzisiejszych stosunkach międzynarodowych jest gospodarstwo krajowe. Czém dawniej było zbrojne rycerstwo, tém dzisiaj jest czujne gospodarstwo. Wieki podboju i zaboru nie przeminęły wcale, jak to mylnie w szkołach nas uczą, ale trwają ciągle i tylko rodzaj broni zmieniono. Bronią jest dzisiaj praca, rozumna i nieustająca praca. Kto tu przegra, ten przegra wszystko.

— Dotąd we wszystkim się z panem zgadzam!

— Dlaczego zaś o gospodarstwie w Salzmünde z takim bałwochwalstwem mówiłem — i z tego się panu wytłumaczę. Widziałem kilka zakładów gospodarczych wzorowo założonych. Gospodarstwa te jednak są założone wielkim kapitałem. Stworzyli je ludzie majątni. Zakład zaś gospo-

darczy w Salzmünde jest dziełem jednego, biednego, lecz rozumnie pracowitego człowieka! Ojciec zostawił mu młyn niezdarny, kilka morgów ziemi i dwieście czy trzysta talarów. Dzisiaj ten człowiek ma *miliony*, stał się ojcem wielkiej rodziny robotników, założył dla niej szkoły i kassy pożyczkowe, słowem jest osiłą, około której krążą bajeczne kapitały i tysiące biednych, których żywi i odziewa!...

Towarzysz mój na te słowa zdjął kapelusz i ozwał się z uśmiechem sympatycznym:

— Pokłon, najniższy pokłon takiemu człowiekowi. Obyśmy takich ludzi mieli jak najwięcej!

— I dla czegoż uniesienie moje nad gospodarstwem w Salzmünde pierwój tak pana zadziwiło?—zapytałem.

Nieznajomy mój towarzysz pomileczał chwilę, uśmiechnął się sam do siebie i odparł:

— Z tém coś mi pan powiedział, zupełnie się zgadzam. Mógłbym nawet od pana iść jeszcze dalej: rozsądne a pracowite gospodarstwo w ziemi, pomieściłbym między dogmatami religii... Ale nie trzeba zapominać, że dobry byt nie jest ostatecznym celem społeczeństwa, ale środkiem tylko jego wyższych interesów!

— Tego przecie nigdy nie przeczyłem!—odpowiedziałem szybko.

— Bo my, ciągnął dalej mój towarzysz—stawiamy się zawsze na skrajnych stanowiskach. Nie umiemy nigdy różnych potrzeb naszego społeczeństwa pogodzić razem. Rzucamy się z zapalem w jedną albo w drugą stronę, a przecież każda prawda stoi w pośrodku!

— Nie wiem, do czego pan w szczególności zmierza?—odpowiedziałem po niejakiem namyśle.

— Zmierzam poprostu do tego—odparł mój towarzysz z większym ogniem—że byt materyalny jest nader ważnym warunkiem każdego społeczeństwa, jest podstawą jego istnienia. Ale jak fundament i podstawa budującego się pałacu, nie jest jeszcze pałacem; tak samo i byt materyalny nie stanowi jeszcze społeczeństwa. Znamy ludy i ludki opływające w dostatkach materyalnych, zarobione w ziemi z wielką korzyścią... ależ jakie lichy widzimy tam społeczeństwo! Człowiek u nich nie jest niczem innem nad to,

czem jest pszczoła w swojej gromadzie. Robić, zbierać a potem jeść, to ich hasło. Człowiek takiego społeczeństwa jest tylko lepiej wychowanym, udoskonalonym zwierzęciem, a samo społeczeństwo niczem innym, jak rojem pszczół, stadem baranów lub gromadą innych zwierząt.

— Pan zgadzałeś się pierwój ze mną — odpowiadałem żartobliwie — teraz ja z panem zupełnie się zgadzam. Czekam jednak, czem pan zakończy tę wycieczkę na biednych, pocziwych rolników?

Po chwili mówił mój towarzysz dalej:

— Jakkolwiek byt materyalny do pierwszorzędných prac należy, nie powinniśmy jednak stawiać go jak złotego cielca na tronie i bić przed nim pokłony. Dobry byt materyalny jest produktem egoizmu ludzkiego, a jako taki jest przyrodzoným pragnieniem każdego człowieka. Powinniśmy nim rozsądnie kierować, a nie słać go ustawicznie, robiąc z niego ostateczny cel społeczeństwa, jak to naprzykład widzimy dzisiaj u niektórych, nawet u wielkich narodów! Jutro okaże się, że to była droga fałszywa i zgubna!

Dalsza podróż zesłała nam na wzajemnych zwierzeniach, które były dla nas korzyścią obopólną.

Aby nam tych kilka chwil jeszcze milój uprzyjemnić, wyniósł się na pierwszej stacyi trzeci nasz towarzysz, i zostawił nas samych.

Rozkoszą jest dla mnie widzieć zapal młodych adeptów sztuki lub literatury. Z czystym ogniem, z całym zasobem młodości, przystępujący młodzian do téj twardej, a tak mało korzystnej pracy jest zawsze dla mnie przedmiotem uwielbienia. W jego marzącém oku widzę naprzód przyszłe losy jego; widzę jak to oko nieraz z smutku i osamotnienia gorzko zapłaczę, jak te usta ścisną się bólem nad przewrotnością i złością ludzką... widzę jak na tych młodych skroniach osiedzie kiedyś ostra, cierniowa korona; ale mimo to wszystko widzę także w około téj korony cierniowej jasno rysującą się aureolę, która tylu ciemnym przyświecać będzie nawet wtedy, gdy ta stroskana głowa wraz z tą koroną cierniową zniknie na zawsze!...

Wszystko to jednak wtedy tylko widzę, jeśli młody adept do obranej pracy wnosi prawdziwą miłość i zapał szlachetny, co z każdym dniem rzadszem się staje. Dzisiaj młody pracownik zaczyna najczęściej od niesumiennej podjazdów, od walki bezimienną, od poniewierki tego, co jest przed nim. Żółć, zgryźliwość, niesmak, ironia cechują wszystkie jego słowa. Widać w tém jakąś starość przedwczesną, która szamoce się i złości w niemocy swojej. Tacy ludzie nic nie robią, nic nie postawią, tylko utrudniają wzrost tego, co rośnie mimo ich złości.

To téż wielce cieszyłem się z poznania mego towarzysza, który prawie dosięgł mego ideału. Widziałem wykształcenie wszechstronne, tak nader rzadkie u dzisiejszych artystów, i skromność wielką, ową oznakę prawdziwego talentu.

Młodzi artyści czy poeci błędzą w tém powszechnie, że od społeczeństwa wymagają takiej czci i takiego szacunku, jakiby im się należał, gdyby to wszystko, co mają w swoich głowach i planach, stało się już dziełem widomym. Tymczasem społeczeństwo nie o tych tajemnych skarbach schowanych pod bujnym zarostem długich włosów nie wie i widzi tylko przed sobą młodych, jak wielu utrzymuje, próżniaków. Ztąd między przyszłym geniuszem a obecnym społeczeństwem wyradza się dziwny, anormalny stosunek. Zapoznają się wzajemnie, i obrzucają się błotem. Poeta zaczyna pozować *à la Byron* lub *à la Heyne*, pluje żółcią na cały boży świat, a świat zatyka sobie uszy bawełną i z uśmiechem przechodzi mimo niego, nie widząc i nie słysząc go!....

Młody mój towarzysz inną pójdzie drogą. W duszy jego widzę wiele śmiałych marzeń, ale marzenia te kryje przed światem i nie żąda od niego, aby według tych dobrych chęci jego już go sądzono. Czy te marzenia swoje kiedy osiągnie? Nie wiem. Patrzałem już nieraz jak się rozbijały podobne marzenia. Jednym do wyższego lotu nie stało siły, drugich zdruzgotał piorun, który się nagle wkoło nich zapalił; a widziałem i takich, którzy pchnięci z góry przez drapieżnego sokoła, zwicznęli skrzydła swoje i kalekami po ziemi chodzili.

Ciekawy jest zawsze bieg życia człowieka, żyjącego naraz w dwóch odrębnych światach, które napozór wzajemnie negować się zdają. A przecież między temi dwoma światami jest silna spójnia, bez której żaden z nich z osobna istniećby nie mógł. To zaś, co dostrzegamy na niekorzyść téj wzajemnej spójni, jest tylko zboczeniem z jednej lub drugiej strony, za co zaraz nieprześlądana następuje kara.

— Więc poświęcasz się mój bracie malarstwu — rzekłem do mego towarzysza po jakimś czasie — powiedz mi, czém według twego zdania, ta sztuka być powinna?

— Nie przesądzając wcale innym odcieniom téj sztuki, — mówił zarumieniony mój towarzysz — zdaje mi się, że ta, której cały poświęcam się dzisiaj, powinna mówić, wiele i wyraźnie mówić. Jedna bawioko, druga rozbudza wyobraźnię, a moja będzie przemawiać głośno do tego, który na nią patrzy!

— Nie mogę dobrze pojąć, o co właściwie ci chodzi!

— Wracam właśnie z Paryża i tam widziałem na własne oczy, czém sztuka jest dla społeczeństwa. W szerokich salach Luwru i Wersalu widziałem masy ludu, jak stały z twarzami zarumienionymi przed obrazami mistrzów swoich. Nie wiem czy która katedra Sorbony wychowała tyle szlachetnych bohaterów, ile wykołysały te ponure płótna z tą mową czarodziejską!... Widziałem grupę prostych żołnierzy, jak patrzali na obraz Verneta przedstawiający bitwę w pustyni afrykańskiej... widziałem żuawa stojącego przed płótnem olbrzymiem Ivona, na którym wylatywały w powietrze mury twierdzy, a wśród tych zwalisk stał błąd i krwią zbaczony zwycięzca... Dość było widzieć tego żuawa: był to największy tryumf sztuki!...

— Mówisz bracie o malarstwie dziejowém.

— Nie, tego, co mówisz, nie mogę włożyć w tak ciasne ramki. Może być ono dziejowém i niekoniecznie dziejowém, ale musi przemawiać, wstrząsać, sposobić ducha ludzkiego do wielkich, pięknych czynów, słowem powinno mieć silny, donośny głos, który gnuśnych budzi, a czuwającym zasnąć nie pozwala!

— Bardzo szczytne dajesz stanowisko sztuce! — zauważyłem zatopiony we własnych myślach.

— Nie lubię sztuki, która jest zabawką i bawi oko wyszukaną kombinacją światła i cienia lub ustawieniem grup nie mówiących!

— Gra twoja jest wielka, — odpowiedziałem po chwili — ale na taką grę trzeba bardzo wiele postawić!

— Stawiam wszystko co mam — rzekł z zapałem i pokraśniał cały na twarzy.

W téj chwili zatrzymał się pociąg a konduktor zawołał:

— Homburg!

Towarzysz mój zabierał się do opuszczenia mnie.

— Czy tu jest cel twój podróży? — zapytałem zdziwiony. Zaramienił się, spuścił oczy i odparł:

— Tym razem tu jest cel mojej podróży.

Widziałem jego zakłopotanie. Weszliśmy już w serdeczniejszy stosunek z sobą. Widziałem jak walczył z sobą. Nie chciał, aby został na nim jakiś cień podejrzenia o lekkomyślność, a z drugiej strony nie mógł odważyć się na wypowiedzenie prawdy. Wreszcie przemogło lepsze dla mnie uczucie. Nicśmiało ozwał się:

— Nie chciéj mieć o mnie tak fatalnego wyobrażenia jakie mimo woli natrąca to słowo „Homburg“! Ruleta tutejsza nie jest celem mojej podróży. Tak zwodniczej fortunie nie powierzyłbym nigdy szczęścia mego. Mam to przekonanie, że wszyscy ci, którzy tutaj po szczęście przychodzą, już je w drodze *utracili*!

— Bardzo słusznie mówisz — odpowiedziałem — jednak...

— Jednak dziwi cię, co tu robić będę! Otóż muszę się wypowiedzieć przed tobą, bo inaczej trudno mi wykręcić się łatwym kosztem z tego podejrzenia. Jest nas dwóch braci. Po rodzicach wzięliśmy nader skromną puściznę. Ja rozłożyłem ją sobie na kilka lat pracy, mój brat próbuje szczęścia w ruletę! Jadę właśnie do niego, bo słyszałem, że coś mu bardzo źle gra poszła.

Ta szczerza spowiedź nowego mego przyjaciela, wkładała na mnie pewne obowiązki! Zresztą dziwne usposobienie tych dwóch braci tak mnie zainteresowało, że postanowiłem wysiąść w Homburgu. W wyobraźni mojej widziałem

już tego nieszczęśliwego gracza z włosiem rozczochranym, z rozpaczą na czole a rewolwerem w ręku... tak, jak zazwyczaj kończą podobni ludzie.

Kto widział giełdę w Paryżu podczas fluktuacyi politycznych, temu barwy Homburga nie wydadzą się tak jaskrawe jak są niemi w istocie. Więcej tylko uzupełnia się tutaj obraz. Zaraz obok akeyi, widzimy skutki. Co kilkanaście kroków obaczysz bladego człowieka z oczami głęboko wpadniętymi; z włosiem rozczochranym na głowie. Pierwszy lepszy posługacz opowie ci krótkie jego dzieje. Poprostu stracił, przegrał wszystko co miał.

Tysięczne i tysięczne postacie przechodzą ci przed oczy, a każda z nich jest chodzącą powieścią. Gdybyś chciał każdą zbadać, dowiedziałbyś się, że każda z nich miała jakieś dziwne powody, które ją popchnęły na tę występłą drogę. Jest to nieprzebrane studium ludzi i urządzeń społecznych.

Na dzisiaj jednak więcej zajęty byłem moim towarzyszem.

Po małym wypoczynku weszliśmy do sali. Koło fortuny kręciło się z dziwnym jakimś szelestem. Jeśli dobrze tego przyrównania użyję, szelest ten podobny wydał mi się do poświstu miecza, ścinającego głowę ofierze...

Miedzy niezliczoną liczbą osób, cisnących się do zakłętego koła, wpadły mi na pierwszym planie w oczy dwie osoby. Jedną z nich była kobieta niepośledniej urody. Wystrojona była wykwintnie. Zdaje się, że na jój strój składały się najznakomitsze magazyny bulwarów włoskich w Paryżu. Nie było tam żadnego fałszu, żadnej imitacyi, prócz... prócz może, samój osoby. Na pierwszy rzut oka wyglądała na księżniczkę z rodu. Rączkę miała drobnutką, jak Kleopatra, oczy jak dwa turkusy na szabli sułtańskiej, a białe ząbki tak pięknej emaliowanej białości jak perły korony hiszpańskiej.

Stała przy stole oparta na zgrabnej parasolce. Przed nią na rubryce: *pair et rouge* leżało kilka błękitnych papierków francuzkich. Jój oczy patrzyły spokojnie na krążące

koło, usta uśmiechały się, zapewne z przyzwyczajenia, zalotnie.

— Zgadnij—rzekłem do mego towarzysza—ile stawia ta kobieta w stosunku do swoich zasobów?

Towarzysz mój spojrzał na nią z uwagą i zatrzymał się dłuższy czas przy grze jęj fizyognomii.

— Zdaje mi się—odparł po chwili—że nie wiele ceni stawkę swoją!

— Masz słuszość—odpowiedziałem—bo ona już dawno wszystko przegrała! Szczęśliwa, dzisiaj nie wie jeszcze o tém, ale patrz ile tam rózu i bielidla potrzeba już do podtrzymania uciekających wdzięków. Wiedziona instynktem chce się ratować przed smutną przyszłością tą grą hazardowną....

Obok nięj stał mężczyzna z czołem zmarszczoném i pilnie śledził obracające się koło. Niepokój malował się na jego twarzy. Zdawało się, że leżący przed nim papierek nie był mu tak wcale obojętnym....

— To mój brat!—rzekł mój towarzysz i westchnął skrycie.

— Brat twój?—powtórzyłem z zadziwieniem—dlaczegoż nie witasz się z nim?

— Na nic nie przyda się w téj chwili witanie moje!—Patrz jak cały grą zajęty. Ręczę ci, że w téj chwili nie poznałby mnie nawet! Doświadczyłem już tego w Wiesbaden!

Smutek ogarnął mnie na widok tego dziwnego szału. Koło rulety zwalniało swój bieg, a na twarzach patrzących tém większy malował się niepokój.

Wreszcie zawołał krupier: *Noir impair!*

Kleopatra przegrała i lekko zarumieniała się, brat mego towarzysza przegrał także i dziko potoczył okiem dokoła. Sięgnął do kieszeni, ale w kieszeni nic nie znalazł. Wreszcie spostrzegł brata.

— Stefanie!—krzyknął przyskakując do niego—daj mi sto franków, bo teraz wygram!

Takie było przywitanie brata. Żadnego innego nie miał dla niego słowa, żadnego uścisku. A brat ten z daleka przyjechał do niego, aby go odwiedzić, uściskać i ucałować!...

Zawstydził się pocziwy Stefan. Przytrzymał brata za rękę i ze mną zapoznał. Trzecia osoba zmieniła postać rze-

czy. Potrzeba było choćby z grzeczności coś przemówić, na coś odpowiedzieć i czegoś wysłuchać. Powoli przyszedł nie-szczęśliwy gracz do siebie.

— Cóż ty Stefanie—zapytał po jakimś czasie—czy ciągle marzysz o laurach artysty?

Nie czekając jednak na to odpowiedzi zwrócił się do mnie i rzekł:

— Nie prawda, panie—że Stefan gra w grę hazardową? On stawia za wiele....

Dziwny uśmiech przeszedł po twarzy Stefana. Chciał się nawet serdecznie rozśmiać na ten dziwny morał brata swego, który właśnie zgrał się do koszuli, gdy mu nagle przerwałem:

— Niezawodnie—Stefan bardzo wiele stawia, a może więcej od pana!

Nie dopowiedziałem jednak całej myśli mojej; wiem bowiem z doświadczenia, że w ruletę można tylko to stawiać i stracić, co człowiek ma, a w położeniu Stefana stawia się często to, czego się nie ma!...

*Wrzesień 185**

Trzy lata później.

II.

SIOSTRA DO SIOSTRY.

*Dreżno, listopad 185**

Jesteśmy więc, kochana siostro, od kilku tygodni w Dreźnie, czyli, jak mówią Sasi, we Florencyi nadelbiańskiej. Jowita nie przeczuwa jeszcze naszych planów. Wprawdzie zaraz z początku zatrwożyła mnie swoim zapytaniem. Myślałam, że już wszystko odgadła, a w takim razie znasz jej dziwaczne usposobienie. Przeszło jednak jakoś.

Towarzystwo tutejsze urządziło wycieczkę na statku parowym. Pani Kazimierzowa zaprosiła i nas, chociaż jeszcze nie poczyniłyśmy wszystkich wizyt. Jowita jak spostrzegalam, wielce się podoba. Wielu młodych ludzi otaczało ją przez całą podróż. Zdaje się że do wdzięków naszej siostrzeniczki przyczyniła się także i wieść dziwna o baje-

cznych, prawdziwie ukraińskich cyfrach jój posagu. Kilka szanownych matron pytało się już mnie o wyjaśnienie. Byłam dyplomata. Uśmiechałam się, nie przyznawałam, ani też nie przeczyłam. Zdaje się że nie popełniam grzechu śmiertelnego, jeżeli Jowity nie pozbawiam tych bezskutecznych hołdów, które mogą dla niej być rozrywką. A jeżeli wyrządzam tém krzywdę jój adoratorom, to na to sowiec sobie zasłużyli.

Otóż po tój przejażdżce na Elbie i po tych licznych adoracyach tutejszej młodzieży naszej, wróciłyśmy późnym wieczorem do domu. Przyznam się, że z tego niejako pierwszego wystąpienia Jowity byłam mocno zadowolona. Wprawdzie nie było między nami tego, o którym wiesz; ale uważałam to niejako za próbę, o ile Jowita podobać się może. Skutek przeszedł moje oczekiwanie. I mnie nawet, mimo że już piąty krzyżyk się zbliża, dostało się sporo kadzidła.

Cieszyłam się i tém kadzidłem, odnosząc je do Jowity, lecz mocno byłam zdziwioną, gdy wróciwszy do domu, ujrzałam Jowitę z temi trzema fałdzikami na czole, z którymi wprawdzie jest jój tak ładnie, ale które nieraz dały nam się we znaki, jak o tém sama wiesz najlepij.

Zrazu nie chciałam zwracać na to uwagi myśląc że te fałdziki rozsuna się same z siebie; to jednak wcale nie nastąpiło. Przez cały czas herbaty siedziała strasznie zamyślona. W głowie jój gotowały się jakieś strzałki piorunowe, które dla nas były tém straszniejsze, że kończyły się zawsze płaczem i kurczem spazmatycznym.

Daremnie szukałam powodu tego szczególnego niezadowolenia Jowity. Na statku parowym nie się takiego nie stało, coby ją zmartwić lub jój ubliżyć mogło. Byłam zawsze przy niej. Słyszałam jak rozmawiała z otaczającą ją młodzieżą. Żaden z nich nie poważił się żadném słówkiem jój ubliżyć. Wszak wiesz dobrze jak wygląda Jowita z tém czołem graniastém, gdy jeszcze brwi podniesie do góry. W samą rzecz masz słusność że podobna jest wtedy do gromowładnego Jowisza, do którego zbliżyć się niepodobna.... A Jowita więcćj niżeli kiedy indziej była wtedy podobną do swego imiennika pogańskiego.... Nawet dowcipkujący zawsze pan Zenon musiał niczego tam do niej przemawiać.

Po herbacie chciałam te błyski, które uieustannie pojawiały się na czole Jowity, nie szkodliwie zażegnać dobrém, przyjazném słowem, które jak wiesz wiele znaczy u niej: gdy nagle zadziwiła mnie zapytaniem:

— Kochana ciociu! — rzekła do mnie z nienacka — proszę o szczerą i otwartą odpowiedź: po co my tutaj przyjechały?

Wyobraź sobie, jak wielce przestraszyło mnie to zapytanie. Widziałam już wszystkie nasze plany udaremnione. Myślałam, że który z młodzieży domyśliwszy się naszych zamiarów, szepnął jęj jakie słówko, które oczywiście w takim razie każdą kobietę niepospolicie gniewa, chociażby sama dążyła do podobnego celu. Cóż dopiero mówić o Jowicie, która o niczem nie wie i najmniejszego nawet nie miała dotąd podejrzenia?

Wprawdzie ten, dla którego właściwie tutaj przyjechałyśmy, nie jest tutaj i także o zamiarach naszych nie nie wie, złe jednak jakieś przeczucie mówiło mi, że jakiś zły duch podsłuchał zapewne nasze myśli i marzenia i do ucha Jowity je zaniósł. Tak przynajmniej wносиłam z tego zapytania Jowity.

— I zkąd ci się wzięło takie zapytanie, droga Jociu — rzekłam przestraszona.

Jocia wytrzymała mnie niejaki czas w tój bolesnej niepewności, a potem drżącym głosem odpowiedziała:

— Mnie się zdaje, że mnie ciocia przywiozła tutaj jakby na wystawę. Kupcy oglądają mnie, a w spojrzeniu cioci czytam zapytanie: kto da więcéj!

Odetchnęłam wolniej po tych słowach. Z chmury piorunnej spadł tylko mały, rzęsimy deszczyk. Jocia zaczęła płakać, jak to jest jęj zwyczajem, gdy przychodzi w styczność z światem. Wyobraża bowiem sobie, że świat inaczej ją ceni, niżeli jest w stanie, że przykłada do niej miarę zwyczajnej kobiety, kiedy ona chce być nieco wyższą nad poziom zwykłych śmiertelniczek.

Biédne dziecię! Ona nie wie jeszcze, że marzeń wszystkich nie można wcielić w życie! Dosyć już dla nas szczęścia, jeśli choć mała iskierka z nich gdzieś się zatli!...



Mam jednak nadzieję, że to wszystko z czasem przemienie. Jowita ma rok dwudziesty, a chociaż co do siły marzeń nie przechodzi jeszcze po za rok piętnasty, jest jednak już na drodze pogodzenia się z rzeczywistością. Wprawdzie kompromis ten będzie ją więcej kosztował, niż którąkolwiek inną jej towarzyszkę, ale za to ręczę za jej szczęście. Są kobiety, które nie mogą i nie umieją być nieszczęśliwymi. Jeżeli im gdzie szczęścia zabraknie, to je sobie stworzą: do tych kobiet należy Jowita.

Słowa jej, które do mnie wymówiła, dały mi tę otuchę, że jakkolwiek bolesnym jest dla niej to pierwsze zetknięcie się ze światem i do tego jeszcze z światem dzisiejszym, który najczęściej młodą dziewczę ocenia tylko według jej posagu, zamysły jednak nasze były dla niej jeszcze zupełnie ukryte. Inaczej nieby mi nie pozostało, jak czémprędzej wrócić z nią w nasze ustronie, gdzieby znowu zatopiła się w admiracyą pięknych widoków i odnowiła dawne związki z naszą dziką bezbarwną naturą, w której ona widzi tyle uroku i tyle tajemnc!

Uścisnęłam ją więc jak dziecko niesprawiedliwie rozdane i rzekłam do niej:

— Uchowaj Boże, droga Jociu—abym tu ciebie jakby na targ jaki wyprowadziła! Żadna podobna myśl nie powstała we mnie. Przyjechałyśmy po prostu, aby się trochę w świecie rozerwać, czegoś więcej się nauczyć, np. przy tych skarbach sztuki, jakie właśnie to miasto posiada. Wiesz przecie, że galerja tutejsza należy do najznakomitszych w całej Europie!... A sama nieraz mówiłaś dawniej, że dzieła sztuki kształcą umysł i serce....

Uśmiechnęła się do mnie przez łzy, ucałowała mi rękę i odpowiedziała:

— Dobrze więc, kochana ciociu, starajmy się więc o towarzystwo sztuki, a nie wyłącznie o takie, w jakim dzisiaj byłyśmy. Gdy na pokładzie statku stałam a tutejsza młodzież nasza mnie lustrowała, widziałam w spojrzeniu cioci jakieś zadowolenie, jakbym stała na targu publicznym. Opowiadanie jednego z nich o jakiejś Melanii przekonało mnie że każda panna prawie, która tutaj przyjeżdża, ściąga na siebie podejrzenie, że przyjeżdża w celach matrymonialnych!

— Coż w tém dziwnego—odpowiedziałam—jeśli ludzie dla łatwiejszego zaznajomienia się schodzą się w jakim miejscu?

— W tém nie ma wprawdzie nic dziwnego—rzekła po krótkim namyśle Jocia—ale światu złośliwemu nie powinniśmy nigdy dać pozorów, aby źle o nas sądził. Przypominam sobie, że panna Pelagia przez trzy lata do Dreżna jeździła i za każdym powrotem z rozpromienioną twarzą opowiadała mi, jak się wybornie bawiła! W jój słowach nie spostrzegłam najmniejszego śladu jakichś zawodów, doznanych z powodu téj podróży. A wczoraj jakiś młodzik mówił do drugiego: „Panna Pelagia na trzy zawody przyjeżdżała tutaj po meża i trzy razy wracała sama, bez towarzysza!”...

— Podobne złe dowcipy młokosów nie powinny cię obchodzić.

— Jutro pójdziemy do galeryi, po jutrze także i tak dalej...—już nieco weselój szczebiotała Jowita.

— Dobrze, moje dziecię; będziemy tam codziennie!—odpowiedziałam całując ją w czoło.

Ściskam cię serdecznie.

III.

Początek grudnia.

Za list twój, droga siostró, i za rady twoje wdzięczną ci jestem. Widzę z nich, że również jak ja życzysz dobrze biédnej sierocie. Bądź pewną, że niczego nie zaniedbam, aby jój szczęście utrwalić. Wiadomość o jój dosyć znacznym posagu, rozchodzi się pomiędzy tutejszą młodzieżą naszą. Z tego powodu mam nie mało kłopotu. Młodzi i starzy, dobrze zagospodarowani i bankruci cisną się do nas wszystkimi szparami. Wiele rzeczy nawet muszę ukrywać przed Jocią, bo inaczej taki sekret kosztowałby ją wiele łez!

Ale co na to powiesz, pana Alfreda dotąd jeszcze nie ma! Jest w Paryżu i dobrze się tam bawi. Stryjenka jego pani marszałkowa, już go uwiadomiła o naszym przyjeździe przed trzema tygodniami. Dotąd jednak nie raczył sobie

nas przypomnieć. Ale nie ma się co dziwić temu. Dla takiego jak on człowieka, stoi cały świat otworem. Młody, bogacz i czegoż dzisiaj chcieć więcej? Paryż dla takich ludzi ma zbyt wiele ponęty... zresztą mówią: *que la jeunesse se passe*, ale zdaje mi się, że byłby już czas przypomnieć sobie, że i Drezno ma coś dla niego....

Jowita jeszcze niczego się nie domyśla. Nie wymagam nawet nazwiska tego w obec niej. Gdyby wiedziała o tém, że góra nie chciała przyjść do proroka i że prorok sam do góry przyszedł, umarłaby ze zmartwienia.

Ale cóż robić! Wiele rzeczy robi się tylko dla uratowania pozorów, a cóż dopiero znaczą tak błahе skrupuły kobiety, która jeszcze cała żyje w swoich marzeniach! Ję się zdaje, że bohater jęj serca powinien ją przeczuć i wynaleźć w ostatnim zakątku świata, przyjechać i ukłęknać. Ona nie wie, jakich sprężyn muszą nieraz użyć biedne matki i ciotki, aby tych bohaterów ściągnąć do siebie od smacznych papierosików lub od czegoś gorszego jeszcze.... Ona nie wie, że przy dzisiejszych rozwolnionych stosunkach, a z drugiej strony wymaganiach towarzyskich, ten tylko wchodzi na stanowisko epuzera, który potrzebuje nadszarganą fortunę swoją łątać spodziewanym posagiem! O miłości, o sercu już się nawet wcale nie mówi, a jeśli czasem wspomnieć wypada, to dzieje się to tak oklepanym, bezdusznym frazesem, że lepiej byłoby go nie słyszeć. Szczęście wielkie, że to wszystko najczęściej odbywa się za pomocą wyrobionych formułek francuzkich....

Pan Alfred obiecał stryjence swojej, że najdalej za kilka tygodni przyjedzie. Rozumie się, wszystko to wiem pod sekretem. Gdyby tylko przyjechał, to jestem pewną wygraną.

A jeśli nie przyjedzie?

To będziemy się bawić galeryą obrazów, będziemy co tydzień zwiedzać „grünes Gewölbe,” a gdy nam się to wszystko sprzykrzy, to pójdziemy do „Thiergarten” patrzeć się na małpy i niedźwiedzie....

A gdy wrócimy do domu, będzie Jowita z rozpromienioną twarzą opowiadać sąsiadkom swoim, że się wybornie bawiła, wiele rzadkich rzeczy widziała i że zupełnie z po-

bytu w Dreźnie jest zadowolona!... Opowiadając nawet to wszystko, będzie szczerą i otwartą.

Czy jej sąsiadki uwierzą? Nie wiem, ale wiem, że w oczy nie okażą jej swojej niewiary!

IV.

STEFAN DO NIEZNAJOMEGO (1).

Drezno. Początek grudnia.

Przed tygodniem opuściłem Düsseldorf, o łączę cię, drogi i jedyny mój przyjacielu i doradco, natychmiast zawiadamiam, aby listy twoje, które są mi jedynym balsamem na ciernistą moją drogę, nie minęły się ze mną. Byłaby to dla mnie szkoda niepowetowana; im bowiem wyżej pnę się po cierniach mego zawodu, tym więcej czuję się na świecie osamotnionym. Wszystko to, co wkoło mnie żyje, zdaje się mieć inne warunki życia. Czasem pytam siebie na seryo, czy mam pełną rozumu, czy w organizacyi mojej duszy czego niedostaje? Taką jakąś dziwną różnicę widzę między sobą a tym co mnie otacza!

Z tego sam osądzisz, jak drogą jest dla mnie przyjaźń twoja. Od tej szczęśliwej chwili (a upłynęło już odtąd trzy lata) gdyśmy o gospodarstwie w Salzmünde z takim ferworem rozmawiali, widzę tylko w tobie pokrewną duszę, przed którą żadnych nie mogę mieć tajemnic. Już przez ten przeciąg czasu doświadczyłem tego słodkiego uczucia, jakie serce moje upaja, gdy sobie pomyślę, że jest ktoś, przed którym mogę się zupełnie wypowiadać!

Nie wiem, czy jest co boleśniejszego, jak nosić się z myślami i marzeniami zamkniętymi w głębi duszy. A z drugiej strony nie wiem, czy jest co śmiesznieszego, jak przed obojętnym człowiekiem wynurzać się z tajemnic duszy! Trzeba koniecznie jakiegoś pokrewieństwa ducho-

(1) Ponieważ w dokumentach, z których niniejsza powieść się składa, nigdzie nazwiska tego nieznajomego nie wyczytałem, nazywać go będę zawsze: Nieznajomym.

wego, a w dodatku trzeba szczerzej i niezwyklej przyjaźni, jaką mnie od lat trzech zaszczycaś!

Dzisiaj, gdy jeszcze do większej pracy nie zabrałem się, mam więcej czasu do pisania, pozwolisz więc że dłużej z tobą rozmawiać będę.

Wspomniałem ci już, że czuję się strasznie osamotnionym. Nie myśl, abym dopiero w cichém Dreźnie przyszedł do tego uczucia po gwarliwym i tłumnym Paryżu. I nad Sekwaną czułem to samo, ale mogłem się jakim narkotykiem upoić. Potrzeba było tylko wejść w tłumy bulwarowe, a już dręczące mory uciekały. Samo wyteżenie uwagi, aby nie być rozjechanym lub podeptanym, sprawiało duszy jakąś ulgę. Tutaj to wszystko ustało, a są chwile, w których słyszę jak mi serce bije, jak za każdém jego uderzeniem rwie się dusza w jakiś dziwny, nieopisaný tęsknocie!

Gdy siedzę przed płótnem zapominam wprawdzie o sobie i o świecie. Rodzące się pod pędzlem postacie mówią ze mną, płaczą lub śmieją się stosownie do swego usposobienia. Nie uwierzysz, jak dziwne opanowało mię uczucie, gdy pod moją ręką konał Turek, strzałą przeszyty... gdy mu zwolna siniały usta... oczy coraz więcej otwierały się szeroko... gdy wreszcie ciało jego straciło całą gibkość i skostniało jak bryła lodu na morzu Północném, aby już więcej nigdy nie ożyło!...

W takich chwilach, przyznasz sam, że nie jestem samotnym. Przeciwnie, jestem w towarzystwie, w jakim nie każdemu być wolno! Nim bowiem to wszystko na płótno przeszło, musiałem je pierwój w duszy odtworzyć, żyć i rozmawiać czas niejaki z wszystkiemi temi znakomitościami. Przyznaj mi, że niejeden pozazdrościłby mi takiego towarzystwa!...

Raz pamiętam, szkicowałem scenę z pierwszych czasów chrześcijaństwa. Na pierwszym planie otoczony liktorami stał Pretor. W dali widne były zwłoki ofiar ciemnoty i pogaństwa. Przed Pretorem postawiłem małą dziewczynkę, która ruchem ręki i całą postawą swoją miała mówić do niego: „Każ mnie także zabić, bo matka moja czeka na mnie niecierpliwie!” Pretor na ten widok miał doznać

dziwnego uczucia. Po raz pierwszy może szepnął mu szatan, stróż jego do ucha: „Kto jest z was wyższym i większym? Czy ty na kurulnem krześle, czy to dziecię błagające śmierci dla miłości matki?”... Nie umiem opisać ci rozkoszy, z jaką na tę pogańską twarz kładłem rysy, wyrażające pogardę samego siebie, z jakim zadowoleniem wykrzywiałem te usta o zębach połamanych w uśmiech szatański, szydzący z wszystkiego a nawet z własnej potęgi!... A jak błogo było mi przy téj niewinnej dziecinie, która za życia była już pół-aniokiem! Zarzuconej na ramionach szacie dałem kształt przyszłych skrzydeł anielskich, podobnych do tych, które z błękitnego nieba spuszczały się z wieńcem zielonym do niego!

Zaiste, obcowanie z takimi postaciami czyni człowieka lepszym i pocziwszym. Towarzystwo takie przekładam nad każde inne, jakie w wielkim świecie znaleźć można, a które bez obłoków dymu tytuniowego i kuflów bawarskiego piwa obejść się nie może!

Ale wszystko to wystarcza mi przy pracy mojej, przy dzienném świetle. Gdy zaś wieczorem do cichego mieszkania mego powracam, wtedy te wszystkie obrazy sprawiają na mnie jakieś dziwne wrażenie, które w sposób straszny i bolesny daje mi uczuć moje osamotnienie!

Wyobraź sobie takiego nieszczęsnego samotnika. Cały dzień myślał, marzył i pracował, a gdy się ściemniło wyszedł na chwilę, aby ciało pożywić. Zafatwiwszy to, wraca, otwiera drzwi, zapala świecę i widzi się sam jeden!... Wprawdzie jest i teraz z nim dawne jego towarzystwo, ale to wszystko wcale inaczej teraz wygląda! Pierwój, śród pracy, ożywiało się, dzisiaj straszy swoją martwością!...

Ów turek zabity odwrócił się jakoś inaczej i wytrzeszczył na mnie szkaradne oczy, jakby mię chciał o zabójstwo oskarżyć!... Pretor zakrawa mi więcéj na wiejskiego bakałarza, który stara się dziewczynce wytłumaczyć, że dwa a dwa jest cztery!...

Słowem, postacie moje straszą, gniewają mnie, śmieją się i szydzą ze mnie!... A nie mam gdzie od nich ucieknąć, nie mam gdzie oka i myśli schować przed niemi, bo jestem sam, sam jeden!...

Ale wróćmy do innéj materyi, chociaż nie ręczę, czy znowu do tego natrętnego tematu nie wrócę.

Poznałem się z tutejszymi artystami. Są to zacni i poczcivi ludziska. Trzymają się razem z synami Melpomeny. W tym celu schodzą się po największej części w restauracyi, zwanéj „u Elbicha”. Jest to długi budynek, zajmujący nad samym brzegiem Elby całą przestrzeń od teatru aż do mostu. Charakteryzuje to tutejszych artystów, że przy kuflu piwa i baraniéj pieczeni mają oraz najpyszniejszy widok na Elbę i domy Nowego-Miasta, między którymi fantastycznie odbija z zielonym dachem swoim pałac japoński!

Tutaj schodzą się prawie codziennie. Rozprawiają wiele o sztuce lub polityce, stosownie do materiału jaki im przyniósł dziennik miejscowy.

Są to w ogóle zacni i poczcivi ludzie. Kochają kraj swój, to jest Saksonię i dla króla swego mają afekt gorący. Ale sztuka w ich pojęciu i praktyce jest to nader wygodna szalfmyna. Najwięcej widać energii w ich pędzlu, gdy kopiują obrazy galeryi. We własnych zaś kompozycjach lubią przedewszystkiem „das gemüthliche”, to jest, rzeczy spokojne, słodko usypiające, lub jakie niewinne sceny z życia familijnego, do którego niemniej należą koty, pieski i cielęta.

Widziałem naprzykład na ich wystawie obraz świeży, nad którym wielce się unosili. Temat tego obrazu jest następujący: Na śmiecisku domowém, otoczony kurkami grzebał za ziarnem kogut bohater. Rzeczywiście między kurkami był on nie lada bohaterem. Wnosząc z jego grzeźbienia dumnie na bok zwieszonego, opowiadał im prawdopodobnie przy grzebaniu coś o bohatérskiej odwadze swojej, o czém czubate kury wcale nie powątpiewały. Nieszczęście jednak chciało, że właśnie o podobném bohatérstwie gdzieś za krzakami marzyło ciele jasno nakrapianéj maści. I oboje zostaliby może przez całe życie przy téj dobrej opinii o sobie, gdyby ciele nie chciało spróbować swego bohatérstwa. Zadarło dumnie ogon do góry, wierzgnęło nogami i przedarło łbem krzaki, dzielące je od koguta.

I cóż się stało?... kury ze strachu pokładły się na ziemię i z pod oka patrzą na bohatera koguta. Ale o hańbo! ciele przestraszyło się koguta, a kogut cielecia!...

Ten moment komiczny uchwycił artysta do obrazu, i włożył w niego cały swój talent. Sasi śmieją się do rozpuku przed tym obrazem i niezawodnie znajdzie kupca!

Obraz jest dobrze malowany, ale według mnie, szkoda talentu dla takiego przedmiotu.

Ale cóż robić. Wszak i przed arką przymiérza w obec zgromadzonych tłumów Izraela skakał Dawid przygrywając sobie na harfie. I on chwalił Pana Boga!

V.

10 grudnia.

Za przysłanie dzienników niemieckich, które o moim obrazie na wystawie w Monachium, życzliwie się odezwały, jestem ci bardzo obowiązany. Nadeszły one w sam czas, kiedy najmocniej takiego lekarstwa potrzebowałem. Czytam je co wieczór, i zdaje mi się, że mam przyjaciela u siebie.

Nieraz myślałem nad tém, czy artysta lub autor powinien wiele wagi przywiązywać do krytyki. Znakomici artyści i pisarze są tego zdania, że wiele na krytykę zważać nie trzeba. Tylko mali ludzie rozbijają się za krytyką dzieł swoich, i wolą nawet być zgromieni niżeli przemilczeni. Jeden ze znakomitych pisarzy porównywa krytykę do kuli bengalskiej, która w najlepszym razie głośno pęknie, iskry i szmaty palące się na około rozrzuci i zagaśnie. Wiem także z doświadczeń różnych, że często krytyka ma różne cele uboczne, które starannie zakrywa. W najgorszym jednak razie jest zawsze dla prawdziwych talentów nieszkodliwą, a miernoty najwyszukańszą chwalbą swoją nigdy nad zero nie podniesie.

Ztąd jednak wypływa, że do nader miernych talentów należę, kiedy krytyka mego obrazu tak wielce mnie zajmuje... Mówię ci to otwarcie drogi przyjacielu, bo z każdym dniem jakoś mi duszniej w mojej atmosferze. W téj chwili wypołożyło się trochę około mnie i zdaje mi się, że znowu jaśniej widzę. A wszystko to zawdzięczam tobie i przysłanym dziennikom. Geniusz tworzy bezwzględnie, a talent pracuje. Do pracy zaś każdej potrzeba zachęty i przyjaznego słowa,

bo inaczej zmęczy choćby najuporczywszego. A tą zachętą był dla mnie twój list i małe artykułiki dzienników.

Piszesz mi drogi bracie, abym nie tracił odwagi. Mówisz, że droga każdego talentu podobną jest do stromej, po nad przepaście prowadzącej drogi pod górę. Ten tylko może na szczyt zdążyć, który ciągle przed siebie, naprzód, patrzy. Kto stanie i za siebie się obejrzy, temu na widok ziejących przepaści głowa się zawróci. Straci odwagę, a zawracając spadnie i pokaleczy się, bo z takiej drogi wraca się tylko kaleką!...

Tak mi piszesz i prawdę piszesz. Ja tylko ukradkiem spojrzałem kilka razy poza siebie, a już nie mogę się pozbyć zawrotu głowy. Zdaje mi się, że dalej nie zajdę, że to co widzę przed sobą, jest dla mnie niedostępne!...

A do tego jeszcze jakież okropne widoki trzeba przebywać w tej podróży! Co kilka kroków spotyka się zwłoki śmiałego wędrowca, który tak samo jak ja piął się do góry i tu zginął marnie, bo mu sił do dalszego pochodu zabrakło!... Straszne, okropne są te drogoskazy! Usta zsiniałe, z bólu otwarte, oczy krwią zasłte, pięście ściśnięte jakby do walki!... Oni walczyli strasznie i rozpaczliwie, walczyli z nieprzyjacielem niewidomym, walczyli z sobą samym! Zaiście, znam tę walkę z małych prób, jest ona najokropniejszą, najboleśniejszą walką, jaką kiedykolwiek człowiek podejmuje. A jest ona tém niewdzięczniejsza, że mało kto ją widzi, nikt prawie nie śledzi jej przebiegu, a zwycięstwo lub upadek przypisują innym wpływom naturalnym.

Czy żywot taki nie jest osamotnieniem? A w takim osamotnieniu jakże wielką jest rozkoszą, usłyszeć głos bratni, obaczyć kogoś, który na nas patrzy i przebieg naszej walki skrzętnie zapisuje!...

Tymczasem dobre chęci niemieckich krytyków nie trafiły jak mi się zdaje do celu. Może to być nauką dla nie jednej krytyki. Chwalą rzecz, której tam wcale nie włożyłem, podsuwają mi myśli i zachcenia, o których nie miałem wyobrażenia i pasują mnie na rycerza za okazane męstwo, podczas gdy może spałem najsmaczniej. Za to nie wiedzą tego wcale, co ja tam właśnie uwydatnić chciałem, pomijając rzeczy, do których właśnie chciałem przykleić oko widza, aby się zatrzymał i artyście hołd oddał. Zgoła prze-

kręcono myśl moją i widziano w obrazie wcale co innego. Cóż ztąd wnosić, oto, że obraz mój nie był dobrze obmyślany i wykonany. Wydarzyło mi się to samo, co jednemu memu koledze w Paryżu.

Powziął myśl namalować „spokój po burzy.” Szczęśliwy do tego wynalazł sposób, aby tę myśl oddać. Oto na brzeg morza wyrzucają rozhukane bałwany trupa. Jest to ostatnia fala burzy, bo poza nią już się morze wygładza i niebo błękitne wychyla. Wszystkie inne akcesorya były trafnie dobrane.

Ale cóż mówi krytyka?

„Obraz zasłużonego naszego malarza, powiada, bez żadnej myśli ubocznej, przedstawia pyszny krajobraz z otwartym widokiem na morze. Czujemy na niebie i nad tą wodą, mocno-błękitny gorejący skwar południa. Wszystko tu pragnie ochłody zacząwszy od suchej, rozdartej skały na przodzie obrazu, aż do tego w siniej dali niknącego ptaszka, który z pragnienia zniża swój lot do pluskającej fali.... Zdaje się, że w obec tak jasno przemawiającej natury nie potrzebny już był dodatek, kąpiącego się człowieka, który właśnie wyszedł z fal chłodnych i rozkosznie obsusza się na żarkiem słońcu”!...

I cóż miał artysta powiedzieć na tę krytykę? Zrazu wziął ją za ironią, ale przekonał się, że krytyk pisał jak w najlepszej wierze!... Umilkł i dał obraz za to, za co wzięła go krytyka!

Ja mego obrazu nie mogę wziąć za to, za co mają go niemieccy krytycy i bynajmniej z tém się nie kryję. Mimo to sprawia mi ich życzliwość jakieś błogie uczucie, którego potrzebowałem w tej chwili koniecznie.

Nie zapominaj o mnie, a kiedykolwiek chcesz mnie słowem nawiedzić, to pamiętaj o tém, żem zawsze głodny i spragniony!

VI.

15 grudnia.

Na różne moje utyskiwania piszesz mi, że każdy talent ma swoje fluktuacye podobne do morza. Raz zdaje mu się, że przebija niebiosy, drugi raz upada na dół, grzęźnie

w bezdennych ciemnościach głębi i na zawsze ginie. Powiadasz, że ani jedno ani drugie nie jest prawdziwem. Niebiosów nikt nie przebił, a przy rzetelnej pracy, w zapomnieniu nikt nie zginął. Może być że masz słuszość.

Jeżeli jednak chory z bólu w niebogłoty woła, a lekarz mu przytém mówi, że ten ból jest koniecznością przyszłego zdrowia, to przeto nie zakazuje krzyczeć choremu, jeżeli to mu sprawia jakąś ulgę!

Otóż mimo wszelkich rad twoich i zdań trafnych, pozwól mi krzyczeć z bólu, jeżeli ten ból dzisiaj więcej niżeli kiedykolwiek mnie dolega!

Przyznam ci się, że jestem często w rozpacz. Był w Rzymie w średnich wiekach znakomity malarz, z którego pracowni często wychodził krzyk przeraźliwy i płacz szmatyczny. Gdy domownicy pospieszyli mu na ratunek, ujrzeli go przed sztalugą spokojnego zupełnie.

— Cóż ci to jest? — pytali przestraszeni domownicy.

— Nic mi nie jest — odpowiadał spokojnie — wszak widzicie że pracuję!

Nie sądź z tego, abym zuchwale chciał się stawiać obok mistrza Dominikina. Zresztą nie płakałem jeszcze nigdy nad żadną moją kreacyą. Może być, że kiedy zapłaczę...

Dziwnie jednak upadam czasem na duchu. Mam chwile gorączkowe, w których, zdaje mi się że sam siebie przewyższam. Postać i myśli cisną mi się przed oczy, tylko rękę wyciągnąć i wziąć je. A zaraz potem opuszczają mnie siły jak pływającego na morzu, jasne światło niknie z przed oczu moich, a we mgle jakiejś nieprzebitej, macam w okół siebie i pytam się, gdzie jestem? To, com przed chwilą stworzył wydaje mi się nie mojem, bo mnie na to stać nie mogło!....

Ty powiadasz, że pierwsze jest natchnienie, a drugie następujące po niém znużenie. Nie przeczę ci. To jest, jak mówisz, fluktuacya każdego talentu. Ale powiedz mi mój drogi, czy nie ma w życiu, coby mogło podsycać to nie ustające w nas natchnienie, a znużenie nasze uczynić nam mniej nieznośnem?...

VII.

20 grudnia.

Nie, mów co chcesz, ja nie mam wcale talentu. Nabiłem sobie poprostu głowę aby być artystą, nauczyłem się kilkoletnią mozolną pracą trochę rysować ludzi, zwierzęta i naturę, a teraz gdy mi przyjdzie coś stworzyć z tego, nie umiem, nie potrafię! Brak mi sił, brak mi własnego sądu, brak mi wytrwałości. Nie umiem rozróżnić co złe a co dobre, ot pracuję tylko, jak najęty robotnik!

Sam nie wiem, co dalej począć. Widzę, że się zbłąkałem, że nie powinien być pójść tą drogą. Gorszą drogą poszedłem od mego brata, który tylko to przegrał co miał, a ja stawiałem to, czego nie miałem.

Weźmiesz to za wyskok melancholii z mojej strony, bo zawsze jesteś względny i wyrozumiały dla słabości mojej. Ale pytam się teraz, czy przez tę zbytnią wyrozumiałość dla mnie nie grzeszysz wraz ze mną? Czyby nie szlachetniej wypadło dla nas obu, gdybyś mi wręcz był powiedział: rzuć pędzel i paletę, a weź hebel lub młotek, aby uczciwie na chleb zarabiać i społeczeństwu swemu nie czynić potem marnych i nieugruntowanych wyrzutów, że geniusza zapoznało, że nie dało mu urosć i dojrzeć, a gdy mimoto dojrzewał, nie obsypano go należytem kadzidłem!...

Byłoby to szczerzej i otwarciiej, byłoby korzystniej dla mnie!

Niema większej męczarni, jak szamotanie się bez talentu. Gdybym przynajmniej nie był malarzem tylko pisarzem, tobym jeszcze jakoś mógł zużytkować nieszczęśliwe położenie moje. Zostałbym np. pseudo-krytykiem, i z prawdziwą rokoszą expensując żółć moją, odmawiałbym pisarzom talentu, drwiłbym z wierszowanych komedij i przedrzeźniałbym się tragedjom pisanym wierszem miarowym. Przecież wtedy miałbym jeszcze nadzieję, że imię moje nie utonie w fali niepamięci! Mówiliby między sobą prostaczkowie: znakomity jest zapewne ten człowiek, kiedy znakomitych pisarzy tak z góry traktuje!...

Gdyby jednak rola znakomitego krytyka nie wydała mi się tak łatwą, zostałbym przy piórze produkującym, ale żółć

moją wylałbym na całe społeczeństwo. Pisałbym w czarnym kolorze, naśladowałbym zanego Wiktora Hugo lub kapryśnego Hejnego. Ganiłbym ludzi, urządzenia społeczne, a wszystkie piękne kobiety w czambułbym potępił, nazywając je zawsze szatanami! Wszystko malowałbym *en noir* a może znalazłby się jaki krytyk, który unosząc się nad ponurem memi barwami, powiedziałby z emfazą: jak piękna i szlachetna jest to dusza, dla której wszystko na ziemi jest tak brudne i ciemne!...

A to tymczasem własna moja dusza byłaby brudną i plugawą! Świat i społeczeństwo widziałem dla tego brudnym i czarnym, bo nie przyniosłem z sobą miłości. Miałem z sobą tylko jad i żółć, mściłem się tylko na innych dlatego że sam byłem głupim i niedołężnym.

Wszystko to mogłoby się stać, gdyby narzędziem mego rzemiosła było pióro i papier. Niejeden redaktor mający złość na kogo, nająłby mnie i dobrze zapłacił. Byłbym poszukiwanym dla stylu pałaszowego, jak poszukiwany i dobrze opłacany był niegdyś „il brawo“!....

Ale to stać się nie może, bo przed sobą mam tylko płótno! Nawet karykatur ludzkich rysować na niém nie potrafię. A gdybym nawet chciał malować samych dyabłów z rogami, to powiedzą ludzie patrząc na obraz: nie taki dyabeł straszny, jak go malujesz!....

Cóż więc mogę uczynić? W jakiż sposób spotrzebować korzystnie ten zasób żółci, który się w sercu mojem nazbierał? Na co wyrzucić tę jadowitą ślinę, która w długim milczeniu napęłniła mi usta moje?

Widzę jak ruszasz głową z politowania i mówisz do siebie:

— Ten człowiek śmieszy mnie. Zżyma się na coś, jak Donkiszot na wietrzne młyny!

Ale tak powiedzieć nie możesz. Inaczéj zanegowałbyś samego siebie, o którym mam to przekonanie, że jest znawcą duszy ludzkiej i moim szczerym i otwartym przyjacielem.

Słowa moje są może szorstkie i rubaszne, ale wśród bólu nie przebiera człowiek w słowniku wyborowych wyrażen. Opowiada jakiś złośliwy autor, że pewna salonowa dama włożyła na nauczycielkę obowiązek, aby rozpieszczanego panicza przyzwocić krzyczeć i płakać nauczyła, gdy czasem

ojciec uznał za potrzebne okazać mu odwrotną stronę życia ludzkiego.

Mnie płakać przyzwocie nie uczono, chociaż los często do płaczu mnie zmuszał. Zbyt wczesnie wydobywały nie-szczęścia z piersi mojej krzyk bóleści, dlatego ochrypłym i chrypliwym głosem skarżę się przed tobą. Zdaje mi się, że tém prędzej powinienes wierzyć w prawdziwość bólu mego!

Ogłaszają różne wynalazki na odświeżenie i odmłodnienie skóry człowieczej; czy nie wiesz jakiego środka, któryby w ducha wlał nowe siły?

VIII.

Ostatni grudzień.

Rok już dobiega do kresu swego. Ludzie zwykli zamykać tutaj rachunki swoje.

I ja dzisiaj cały dzień rachowałem się z sobą i kończę swój rachunek mimo opozycyi twojej, że złą drogą poszedłem. To co mi na pociechę powiadasz, że jeden z dawniejszych moich obrazów przeszedł w drugie ręce za cenę podwójną, bynajmniej mnie z drogi nie zwodzi! Widzę, że przeceniłem siły moje, że wszedłem do świątyni bez namaszczenia, jak Saul do liczby proroków!

Twój szeroki wywód o wymaganiach sztuki, o warunkach, w których żyć i dojrzewać musi, może być bardzo logiczny i trafny, ale we mnie nie wleje on tego, czego nie mam.

Powiadasz, że dawniej mylnie pojmowano warunki pracy duchowej. Mniemano bowiem powszechnie, że tylko żywot *ascetyczny* może rodzić wielkie myśli i dzieła! Chwycono się więc ascetyzmu i chciano od niego mieć to, czego natura nie dała. Ztąd poszedł ten krzywy kierunek wielu prac średniowiecznych. W oderwaniu się od świata, otoczono wszystko mglistą atmosferą i stworzono pokarm duchowy nie zrozumiały i niestrawny dla społeczeństwa. Nawet znakomite duchy musiały skarłowacić w tej posusze i zabić się w zwątpieniach!...

Tak prawisz do mnie i prawisz nader rozsądnie. Wyrzucasz mi mój żywot ascetyczny, oskarżasz mnie o wystę-

pek dobrowolnego osamotnienia. Powiadasz, że sam zrywam harmonią między mną a społeczeństwem, która to harmonia konieczną jest dla tworzącego ducha!

Lecz powiedz mi co mam czynić, abym odzyskał tę harmonią? Czy jest na to jaki sposób? Cóż poradzi człowiek, który zaproszony na wielką ucztę ubrał się w ciemnej celi swojej, sądząc że ma na sobie szaty świąteczne, a tymczasem w jasno oświeconej sali spostrzegł, że szata jego ma dziury i jest połatana? Cóż uczyni wtedy ten człowiek? W jakiż sposób przywrócisz między nim a innymi godową harmonią?... Powiesz na to, że najlepiej uczyni, gdy wyjdzie i wróci do ciemnej celi swojej!...

Dobrze! Ale ty wiesz, jak to boleśnie jest wracać głodnym od uczty, wracać wśród śmiechu i urągowiska młochu, który wtedy najwięcej się raduje, jeśli kogoś płaczącego widzi!...

Daj mi sposób, a wrócę, bo siły ostatecznie opuszczają mnie!

W zeszłym tygodniu szkicowałem rzucony jeszcze w Rzymie pomysł: Msza święta w katakumbach w pierwszych czasach chrześcijaństwa.

W ciemnym korytarzu przed świeżym grobem męczennika stoi kapłan boży z gromadką wiernych. Przez górną rozpadlinę, która katakumby mały promyk światła słała, widać było w perspektywie, stojących żołnierzy i oprawców rzymskiego władcy, którym wysłany zausznik opowiada o zgromadzonych w katakumbach chrześcijanach.

Jest to krótka chwila, która zgromadzonych wiernych przedziela od śmierci męczeńskiej...

A jednak na ich twarzach miał być spokój; ich oczy patrzyły z rozkoszą w niebo, gdzie mieszkał ich Bóg...

Może cię dziwi, że od niejakiego czasu o samych ponurych obrazach mówię z tobą. Przyznam się, że i mnie to dziwi, ale zagadki tej rozwiązać ci nie umiem. Jest coś w duszy mojej czarnego, zrozpaczonego....

Otóż szkic ten stoi dzisiaj przedemną!...

Gdybyś go widział, sambyś powiedział, że nic nie umiem, że żadnego nie mam talentu!

Kapłan mój z czasów męczeństwa wygląda na spokojnego proboszcza z Łysiej Woli, którego znałem będąc dziec-

kiem. Mam go nawet w podejrzeniu, że wznosząc z kielichem ręce do góry, myśli o smacznej pieczeniu, która go już od pół godziny w plebanii czeka!... A ci stojący i klęczący wkoło niego wierni! To istna zgraja odpustowa, która z dalekich wsi przyszedłszy odpoczywa tutaj podczas nabożeństwa słodko czasem zasypiając!...

Powiesz: przecież żołnierze rzymscy i ten donosiciel groźnie wyglądają i czynią efekt niepospolity!

Gdzie tam! Są to po prostu sascy diinstmanowie poprzebierani w stare saskie zbroje, które wypożyczyłem z „Rüstkamer”!... Jeden nawet z nich uśmiecha się do mnie tym samym znanym mi śmiechem, jakim mnie zawsze wita na rogu „schlosstrasse”!... A cała ta zgraja pochylona nad rozpadliną podobną jest do myśliwych, którzy w lisia jamę zagląдают, gdzie im właśnie lis umknął!...

I cóż? Mamże jeszcze w siebie wmówić, że jestem artystą?

Powiedz mi, czy jest jakiś środek, któryby wlał we mnie wiarę zagubioną w srogich walkach życia? Czy jest jakiś sposób na to, abym najprzód uwierzył sam sobie, a potem ludziom? Czy mógłbym przez jaką formułkę czarodziejską, sprowadzić tę upragnioną między mną a światem harmonię?

Nie, ja nie nie widzę! Widzę przed sobą szary, pusty, gościniec życia. Samotny idę tym gościńcem, i nie nie wiem, co na nim spotkam; wiem tylko czém się on kończy!...

Ale dość już tego na zakończenie starego roku.

Może nowy wraz z gwiazdą Trzech Króli przyniesie co lepszego.

Życzę ci jednak lepszój nadziei od mojej!....

IX.

JOWITA DO SALOMEI.

Listopad, Drezno.

Gniewasz się na mnie, kochana Salciu, i gniewasz się słusznie. Obiecałam ci zdawać sprawę z każdego dnia, z każdego wrażenia. Do dzisiaj nie wywiązałam się wcale

z tego przyrzeczenia. Nie winuj jednak mnie, ale winuj ten brzydki świat, który wcale jest innym, niżeli nam się okazywał w naszych marzeniach!

Ciocia powiada, że tak długie zaniedbanie ciebie, jest z mojej strony pierwszym krokiem do pogodzenia się z światem. Nie myśl jednak, aby tém tobie ubliżyć chciała. Uchowaj Boże! Ona kocha cię nie mniej odemnie. Ma tylko pewne odmienne od naszych, wyobrażenia.

I tak na przykład, całą przyjaźń naszą nazywa chorobliwą exaggeracją. Powiada, że kobieta powinna mieć pewne sekrety tylko dla siebie wyłącznie, a która je zaraz w lot drugiej udziela, to jest oznaką, że je nie wiele ceni.

Być może, że ciocia ma słuszość. Ja nie mam jeszcze takich sekretów, którebym dla siebie zatrzymać mogła przed tobą, gdybym je rzeczywiście miała. Wiem, że cieszyć się będziesz ze mną, gdy ci coś radosnego doniosę i wiem że zapłaczesz, jeśli w moich oczach łzy obaczysz!

Otóż ciocia niesłuszenie mówi, że tak długie milczenie moje miałoby być pierwszym krokiem do pogodzenia się z światem. W taki sposób musiałyby zamilknąć serce moje, a to nastąpiłoby dopiero trzy dni... przed moim pogrzebem.

Strach mnie czegoś ogarnął, gdy napisała wiersz ostatni... Droga Saleciu, czy ty temu nie przeczysz, aby serce dopiero na trzy dni przed pogrzebem zamierało? Czy może ono zamilknąć prędzej? A czy można żyć na świecie, nosząc w sobie serce zastygłe?...

Daruj mi to dziwactwo moje. Wczoraj mówił mi jeden z naszych gości, że jak młoda panna o klasztorze lub o śmierci mówi, to jest znak, że chce iść za mąż. Nie chcę, abyś i ty podobnie myśleć chciała. Nie będę już więcej mówić o tém, co kiedyś umrzeć może, ale rozpowiem ci dziwne rzeczy o tém, co było wczoraj, a co jest dzisiaj.

Milczenie moje tak długie wytłumacz sobie na moje korzyść. Chciałabym ci wszystkie wrażenia moje spisać, a tych jest tyle, że nie wiem od czego zacząć. Opowiadają bajkę o Arabie, który wyprosił sobie u Boga łaskę, aby choć przez kilka minut biło wkoło niego sto źródeł. Bóg wysłuchał Araba. Sto krynic zimnej wody otworzyło się nagle przed nim; ale Arab z żadnej nie skosztował: namyślał się od której zacząć, a tymczasem łaska Boga skończyła się.

Nie jestem ja tak jak ów Arab nowemi zjawiskami odurzona. To co mnie otacza, nie jest dla mnie tak okrutnie nowém, abym do siebie długi czas przyjść nie mogła. Wprawdzie w naszém ustroniu nie widziałyśmy obie wiele świata. Ale nie wiem jak się to dzieje? to co widzę, nie uderza mnie zbyt nowością. Mówię tutaj o świecie powszednim, a jeżeli się na mnie nie rozgniewasz, to policzę do tego owych powszednich ludzi, których i w naszém ustroniu miałyśmy do syta.

Z mego dotychczasowego pobytu za granicą tyle się nauczyłam, że formy zewnętrzne nie zmienia nigdy człowieka ani na lepsze ani na gorsze. Jeżeli jest wewnątrz próżnia, to i pod politurą będzie ta sama próżnia... Czy przypominasz sobie naszego pocziwego sąsiada, który próżną kasę swoją kazał z wierzchu wyłocić?...

Nie przeczę jednak, że i w tym krótkim czasie czegoś się więcej dowiedziałam...

Widzę teraz, jak trudno jest znaleźć na świecie prawdziwe szczęście!...

A przecież w naszém ustroniu wydało nam się to tak łatwém! Po każdej przeczytanej książce tworzyliśmy sobie bohaterów, którzy tak blisko, bogdaj czy nie w sąsiedztwie nawet byli!...

Czy przypominasz sobie tę ważniejszą epokę naszego życia, wycieczką na odpust do Częstochowy? Tam pod kościołem oparty o rozwalony filar muru stał blady o długich włosach mężczyzna; w całym jego zjawieniu się widziałyśmy coś nadnaturalnego. Wyraz jego twarzy pełen cierpienia, jego duże ogniste oko, tło na którem tak dziwnie się odbijał, wszystko to kazało nam wnosić, żeśmy ujrzały jednego z tych bohaterów, których nam tak gorąco zalecają autorowie powieści!...

I przypominasz sobie nasze rozmowy o tym nieznanym? Jeśli się nie mylę byłam nawet trochę zazdrośną, że w ciebie patrzył jak w tęczę. Przypisywałam to nieco złośliwie twojej białej talmie, która między odpustowemi wielki efekt sprawiała. Przypisywałam także ten sukces w duchu twojej niezwyklej wtedy ruchliwości, jaką nieznanemu miałaś okazać swój niepokój...

Cóż się za kilka godzin stało z naszym bohaterem, któregośmy sobie w duchu wzajemnie wydzierały?

Oto: widziałyśmy jak pijany włókł się w towarzystwie brudnych, śmiejących się kobiet, i stroił do nich przykre, rubaszne żarty!...

Nie mam jeszcze, jak wiesz, żadnych doświadczeń, ale przecucie moje mówi mi, droga Salciu, że wkoło nas jest wielu podobnych temu bohaterowi naszemu, z tą tylko różnicą, że oni jeszcze pozują fantastycznie pod zwaliskami filaru!... Cierpliwości, a obaczyłybyśmy ich w téj samej roli i w takiem samém towarzystwie, w jakiem był nasz bohater odpustowy!

Lecz na cóż tobie o tém wszystkiém w pierwszym liście piszę?

X.

Listopad.

Jestem tak dziwnie roztargniona, że zapomniałam zupełnie, co w pierwszym liście do ciebie pisałam. Być może że się tutaj powtarzać będę. Nie bierz mi téj nieuwagi za złe. W naszém ustroniu można było myśli swoje dobrze na uwięzi trzymać, bo był i czas i cisza po temu; tutaj nie prawie nie robię, a jednak brak mi zawsze czasu. Obawiam się, abym z czasem nie wychowała się na tak zwaną „kobietę światową,” która właśnie nic nigdy nie robi, o niczém nie myśli, niczém się nie zatrudnia, a jednak nie wie, kiedy jéj czas upływa i nigdy nie ma go podostatkiem.

Nie lękaj się jednak o mnie. Taką kobietą nigdy nie zostanę. Sprzeciwia się to całej mojej organizacyi... Posiadam tyle tylko talentu, aby się do nowego mego położenia zastosować; ale nigdy nie wyrzekłabym się sama siebie: w czém dotąd wyrosłam, to musi zostać ze mną do końca.

Z tego co mówię sama poznasz, że roztargnienie moje jest tylko chwilą przejściową. Położenie moje dzisiejsze alteruje mnie czasem; wtedy szukam prędko równowagi: jakkolwiek zawsze przychodzę do niej, jednak zawsze kosztuje mnie to nieco czasu. W tym czasie mogę się zawsze nazwać roztargnioną. Jeżeli więc w jednéj z takich chwil

piszę do ciebie, to nie chciéj źle sądzić o mnie, bo taką nie jestem.

Przypominasz sobie, co się z nami działo, gdy nadchodziła niedziela. Był to jeden dzień w całym tygodniu, gdy najbliższe nasze sąsiedztwo odwiedzało nas. Jakkolwiek cały tydzień byliśmy z sobą w harmonii, w tym dniu jednak musiałyśmy długie odbyć dysputy, zanim zgodziłyśmy się na rzecz jaką. Dzień ten wyjątkowy przyniósł nam tyle wątpliwości, że je usunąć potrzeba było. Najprzód chodziło nam o przyjęcie gości, o przygotowanie potrzebnych do tego rzeczy. Potém spierałyśmy się, kto przyjedzie, a kto nie przyjedzie. Czy przypominasz sobie, jakiego marsa stawiałaś zawsze na mnie, gdym wszelkimi możliwemi sposobami chciała ci dowieść, że pan January nie przyjedzie?...

Otóż widzisz moja Salciu: tam miałyśmy jeden dzień w tygodniu i jednego a najwięcéj dwóch Januarych, o których czasem spierałyśmy się, a tu jest takich dni siedem w tygodniu, a dwa razy tyle takich Januarych! Przyznasz więc sama, że dosyć jest roboty, aby przynajmniej w jakiej takiej roli się utrzymać.

Nie bez namysłu użyłam tutaj tego słowa „roli.” Tak jest, powtarzam ci to jeszcze raz, że dotąd prócz roli, jakiej odemnie wymaga zwykłe towarzystwo, nic więcéj nie mam na mojem sumieniu.

Ty mnie rozumiesz, o czém mówię. I widzę nawet, jak twoje piękne oczka zamykają się przy tych słowach moich.... jak o mnie zupełnie zapominasz.... a tymczasem w mglistém, listopadowém powietrzu przeciąga powoli przed tobą rumiana twarz pana Januarego z tym zaczepnym wąsikiem do góry podkreconym.... A co, czy nie prawda? Czy się omyliłam?

Nie wypieraj się moja Salciu, bo i ja nie będę wypierać się przed tobą, gdy podobny obrazek stanie mi przed oczyma. Nie będę nawet rumienić się z zakłopotania, ale jasném okiem spojrzę na ciebie i z rozkosznie bijącym sercem powiem ci, że znalazłam szczęście, o którém serce kobięce tyle przecudnych rzeczy namarzyło!...

Zdaje się jednak, że długo na to czekać będziesz!

XI.

Listopad.

Powiadasz, że moich listów wcale nie rozumiesz. Utrzymujesz, że nie ma w nich owój ścisłej konsekwencji, jaka mnie zawsze cechowała. Być może, że listom moim brakowało owego spokoju, który zawsze we mnie podziwiałaś. Nie chciaj jednak tego sobie na moję niekorzyść tłumaczyć. Nic mi tutaj jeszcze nie zamąciło mego spokoju. Serce moje bije regularnie z wyjątkiem chwil, w których gniewam się na siebie.

A wiesz dlaczego? Oto dlatego, że nie mogę we wszystkim zgodzić się z towarzystwem, które mnie otacza.

Nie bierz tego za ukrytą chęć wyróżnienia się od innych. Znasz wszystkie moje myśli i marzenia, a jednak, wierząc mi, gdy patrzę na moje towarzyszek, zazdroszczę im w duchu, że nie jestem do nich podobną!

Mamy tutaj kilkanaście domów znajomych, które zjeżdżały tu na długie zimowe wieczory. Rowieśniczek mam wiele, a z niektórymi jestem nawet już w dosyć przyjaznych stosunkach.

Tutaj muszę wrócić do dawnego naszego sporu. Tyś zaprzeczała mi, aby między naszą plecią mógł zachodzić istotny stosunek przyjaźni; widzę teraz, że masz poniekąd słuszność.

Przyjaźń między ludźmi gruntuje się zawsze na wspólności jakiegoś interesu, w poziomém i idealném znaczeniu tego słowa. Życie ma bardzo wiele interesów nam wspólnych, które nas razem łączą złotym łańcuchem przyjaźni. Jesteśmy niejako kapłankami idealniejszych, wznioślejszych uczuć. Ta kraina jest nam powierzona i ją bronić mamy od inwazyi brudnego realizmu i barbarzyństwa. Ludzie uczeni powiadają, że w rękach kobiet jest przyszłość społeczeństwa; do nas więc należy stawiać coraz większe wymagania co do postępu, a byłby to z naszej strony wielki krok zacofania, gdybyśmy na tém tylko poprzestać miały, gdzie były nasze prababki. Ta tylko kobieta, według mego zdania, spełnia obowiązki swego posłannictwa, która potrafi atmosferę swego otoczenia oświecić idealniejszém światłem

życia. Podobną jest ona wtedy do malarza-pejzażysty, który umie naturze wykraść najidealniejsze jęj momenta i przedstawić ją w tym stanie.

W naturze bowiem tak samo jak w życiu jest wiele na pozór nader niepoczesnych przedmiotów, które dopiero przy należytem oświeceniu zyskują na piękności. Któż np. nie zna pospolitej naszej wierzby? Skromny ten w królestwie roślinném plebejusz nie rości sobie wielkich pretensyj, rośnie przy każdym rowie, samotny stoi przy opuszczonej drożynie, kołysze się nad brudną kałużą, i gdzie żadne inne drzewo stać nie chce, on tam staje z rezygnacją godną lepszej doli! Bydło ogryza mu liście, pastuchy wycinają mu młode gałązki, a on to wszystko znosi z cierpliwością upośledzonego, od którego całe lepsze towarzystwo ucieka!...

A jednak spojrzysz na tę wierzbę, co z niej zrobi wprawna ręka artysty. Będzie ta sama, zwyczajna nasza wierzba, ale jakie światło zagra w jęj konarach! Ileż tam bogactwa rozleją promienie słońca, ile tęczowych roztoczy się półkieni?....

Otóż i w życiu naszym są takie rzeczy powszednie, które idealną barwą obrzucić musi ręka kobiety! Ona całemu stworzeniu musi wykraść tajemnicę piękna i wkoło siebie rozsiewać je i tworzyć tak jak Bóg tworzył...

Otóżto jest nasze wspólne zadanie i w tém wszystkie się zgadzamy. Na tém polu możemy zawrzeć wieczny sojusz, możemy zaprzysiąc sobie przyjaźń po koniec świata; na tém polu możemy ścigać wspólnego nieprzyjaciela, któryby nam chciał odebrać nasze szaty kapłańskie, a na głowy nasze zarzucić worek barbarzyństwa azyatyckiego!

Wszystko tu jest nam wspólne, ale gdy pracę naszą pojedynczo rozbieramy między siebie, wtedy, kochana Salciu, łamię się często ogniwa naszej przyjaźni.

Krótko mówiąc, gdy jest nas więcej razem otoczonych ciekawymi widzami, któraż z nas mówiąc szczerze i otwarcie, nie chce się lepszą i piękniejszą wydać od innych? Tu kończy się przyjaźń, zwierzenia szczerze ustają, a zostaje jakiś zwykły, nieokreślony dobrze stosunek.

Zastosowując to wszystko do mego dzisiejszego towarzystwa, otwarcie ci mówię, że z żadną z rówieśniczek mo-

ich nie jestem w ścisłej przyjaźni we właściwém znaczeniu tego słowa.

Mimoto umiem czasem Sokratesową metodą uchwycić ich tajemniejsze myśli i marzenia. I dlatego powiedziałam powyżej, że zazdroszczę, iż taką nie jestem jak one!

W rzeczy samój, im do szczęścia, do życia tak mało potrzeba! Wprawdzie mówi się inaczej. Piękne frazesy nie nie kosztują. Miłość, poświęcenie się, piękne wzniosłe uczucia, są to prześliczne arabeski, które haftują się na białém tle życia. A poza tém stoi z urzędową miną licytanta, mama dobrodziejka lub ciocia i woła od czasu do czasu: Kto da więcej!

Gdyby przynajmniej tę formułę: „Kto da więcej!” należycie zrozumiano! *Więcej* np. daje człowiek zacny i poczciwy od pierwszego lepszego niepoczciwca! *Więcej* daje pracowity i pożyteczny członek społeczeństwa, od próżniaka i marnotrawcy. *Więcej* daje człowiek wyższych, wznioslejszych dążeń od pełzającego egoisty! *Więcej* daje mąż czynna świeżego serca i duszy młodej od zgrzybiałego sybaryty o roztrwonioném sercu i duszy zamarłej! *Więcej* wreszcie daje ten, który własną pracą i zasługą dobił się wyższego stanowiska, niżeli skarłowaciały potomek hetmańskiej rodziny, który w występniém życiu dogryza ostatnie szczątki pradziadowskiej sławy i fortuny!

Ale to „więcej” znaczy powszechnie u nas „mniej,” a to „mniej” jest „więcej!...”

Teraz zrozumiesz mnie jeśli powiadam, że im zazdroszczę!.... Bo cóż łatwiej jak znaleźć to, co je zadawalnia?....

Ale dosyć na dzisiaj. Tyś gotowa mnie o co podejrzawać, czego ja bynajmniej powiedzieć nie chciałam. Wierzał mi, nie miałam żadnej myśli ubocznej pisząc te słowa. Ot, chciałam z tobą trochę porozprawiać, tak jak to często dawniej bywało. Niech ci to stanie za dowód, że tutaj nawet nie mam z kim w podobny sposób rozprawiać.

Mimoto widzę jak ten złośliwy, znany mi uśmieszek rysuje się koło ust twoich z zapytaniem: Dlaczegoż moja Jociu tak strasznie usprawiedliwiasz się przedemną, kiedy ja o nic cię nie obwiniam?... Wiele, bardzo wiele myślisz o tych rzeczach, jeżeli tyle o nich mi piszesz!

A więc urywam: w następnym liście wcale co innego!

XII.

Grudzień.

Słusznie mnie pomawiasz, że piszę listy, któreby mogły być i na wsi a niekoniecznie w Dreźnie pisane. Jest w nich wszystkiego potrosze, tylko Drezna nie ma. Mówisz, gdyby nie stampila pocztowa, to byś nie wiedziała, że mieszkam w Dreźnie.

Twoje skargi są słuszne, ale im już zadość uczyniłam. Wczoraj wysłałam właśnie list długi do ciebie, opisując ci miasto zaczawszy od „bürgerwiese” a skończywszy na browarze „Waldschlösschen.” Wprawdzie w pierwszej lepszej podręcznej książce przeczytasz to daleko lepiej i obszerniej, ale próbowałam sama nakreślić ci moją własną ręką obraz miasta, które nazywają przedmieściem Warszawy.

Do wszystkich innych osobliwości muszę ci jeszcze dodać jeden szczegółik. Posądzają Sasów o brak idealniejszego polotu. Mówią, że im tu na tym padole płaczu jest tak dobrze i wygodnie, że niczego więcej nad dary ziemskie nie żądają. Otóż właśnie przedwczoraj dowiedziałam się, że i idealista Szyler potrzebny im był do kompletu tego szczęścia, o którym złośliwy Hejne powiada:

.....*hast Schiller und Göthe.*

Deutschland! Was wilst du noch mehr?

Sasi więc poczciwi uczcili tutaj pamięć wielkiego poety, ogródkiem piwnym, nazwanym *Schiller-garten!*.... Czy cię to śmieszy? Bynajmniej! Oni mu poświęcili najprzyjemniejsze chwile życia.....

Kończę na tych kilku wierszach, bo za chwilę idziemy z ciocią do galerii obrazów.

Czy ty wiesz, co to jest galeria obrazów w Dreźnie?

Żałuję, że ci jej opisać nie mogę! Ale kiedyś gdy wrócę z galerii, napiszę list do ciebie. Z samego stylu będziesz mogła poznać, jakie wrażenie sprawiają arcydzieła sztuki.

Powiadam ci szczerze, że stając przed temi dziełami geniuszów sam spektator staje się lepszym, i wychodzi wyższym człowiekiem, niżeli wszedł!.... Duch rozprzestrzenia się, odkrywa w sobie jakieś dziwne, nietknięte dotąd zasoby jakich pierwój nie widział!...

Jest to dziwny magnetyzm sztuki!...

XIII.

Grudzień.

Twierdzenia twoje są słuszne. Rozprawy moje, jak je nazywasz, były rzeczywiście potrącone czémś, o czém jeszcze ci nie pisałam. Trafia się to często w życiu, że innym objawiamy tylko skutki, a o przyczynach zupełnie przemilczamy. Przypominasz sobie naszego starego ekonoma, który pogniewawszy się na parobków, dowodził żonie, że rosół za słony, a kasza przydymiona?

Otoż i ja rozprawiałam przez kilka listów, a nie powiedziałam ci, z kąd mi się wziął taki ferwor do rozpraw. Masz słuszość, że ten ferwor musi mieć jakąś ukrytą przyczynę i ma ją istotnie.

Wiesz dobrze, że wybrałyśmy się z ciocią, aby trochę więcej świata obaczyć, niżeli to uczynić można było z ganku naszego starego dworu. Prócz gorącej chęci obaczenia i nauczania się czegoś, nie miałam żadnej innej myśli ubocznej. Płakałam z radości, gdy wreszcie stanęłam na miejscu, w którym mogłam na własne oczy oglądać te wszystkie skarby, o których tylko z opisów pełnych zachwycenia wiedziałam.

Wyobraź sobie moje pierwsze, straszne rozczarowanie. Gdym się po raz pierwszy znalazła w większym towarzystwie dowiedziałam się, że niektórzy mieli to niezbite nieczem uprzedzenie, że tutaj przyjeżdża się zazwyczaj jakby na wystawę jaką, aby sobie poszukać męża!

Znasz pod tym względem moją dumę. Wiesz, że pierwój mogłabym umrzeć lub wreszcie do jakiego klasztoru najostrzejszej reguły wstąpić na całe życie, niżeli ubliżyć naszej godności kobiecej i szukać zamiast być szukaną. Przypominasz sobie, ile to sporów, gniewu i walki kosztowało, zanim zgodziłam się na to, aby z tobą do miasta powiatowego po sprawunki pojechać w ten dzień, w którym zwykle można było spotkać tam pana Januarego! Przypominasz sobie, jak gorąco dowodziłam ci, że kobieta powinna w takim razie unikać nawet pozoru, jakoby ze swojej strony chciała ułatwić jakie, choćby nader przyjemne spotkanie.

Zaprawdę, panowanie nasze zawisło od nas samych. Jeżeli kobieta z tronu swego tylko jeden stopień niżej zejdzie, już traci koronę i przestaje być królową...

Otóż wyobraź sobie mój gniew i moję rozpacz, gdy z różnych półsłówek mego towarzystwa mogłam sobie złożyć tę myśl nieszczęsną, że może i mnie przywieziono tutaj jakby na wystawę, aby jaki lepszy zrobić interes, niżeli to staćby się mogło w naszym odludnym ustroniu?

Na tę myśl zalałam się łzami. Dotknęła ona najboleśniej strony moich marzeń. Ciocia spostrzegła to i zapytała mnie o przyczynę. Odpowiedziałam jej szczerze i otwarcie i zapytałam ją oraz, czy to prawda, aby mnie tutaj jakby na sprzedaż publiczną przywieziono?

Ciocia zaprzeczyła temu jak najuroczyściej, zaklęła się na wszystko w świecie, że podobna myśl nigdy nią nie kierowała. Uspokoiliłam się na razie. Mimoto raz powzięta myśl nie odchodzi, nie pozostawiwszy jakichś śladów po sobie. Otóż i myśl ta, zanim mnie opuściła, poruszyła wiele rzeczy w sercu mojem.

Nie wiem jak się to dzieje, ale od tego czasu często nachodzą mnie różne marzenia, o których dawniej wiele nie wiedziałam. Tworzę sobie sama różne sytuacje i bieżę się nad wynalezieniem sposobu, aby z nich wyjść obronną ręką. Stwarzam sobie ludzi złych i dobrych, i albo walczę z nimi z całą urojoną energią, albo zbliżam ich do serca mego i pozwalam im słuchać jak ono bije....

Otóż gdy wśród tych walk i rozkoszy urojonych do ciebie piszę, słuszna, że nie ze wszystkiem mnie rozumiesz. Słyszysz moje narzekania, a nie widzisz moich urojeń, które stały się powodem tych narzekań. Czytasz jakieś dziwne rozprawy moje, a nie wiesz, że wstęp i motyw tych rozpraw zostały w głębi duszy nie wypowiedziane!

Teraz powinno ci się wszystko wyjaśnić. Wiesz teraz że wszystkie moje myśli, marzenia, moje skargi i żałoby krążą około najbliższej mojej przyszłości.

Jakkolwiek oburza mnie ta myśl, że mogę być posądzoną, że przybyła tutaj, aby się światu przedstawić i z nabytej sztuki podobania, zdać z sukcesem publiczny egzamen: jednak fakt pozostanie zawsze faktem, że z cichą ostoi wypłynęła na szerszy gościniec życia, gdzie można kogoś spotkać i być również spotkaną....

Ta myśl zaprzęta mnie całą i trwoży mnie, jakbym bliżką była wielkiego niebezpieczeństwa!....

Czy sądzisz, że to nie jest wielkiem niebezpieczeństwem, rozrzucić na raz całém życiem swoim?

Mój Boże! wszak mamy tylko jedno życie!

XIV.

Grudzień.

Wdzięczną ci jestem, że weszłaś w moje położenie i razem ze mną zaczynasz się o mnie trwożyć. Bierzesz na serio moje słowa, choć nie miałam odwagi żądać tego od ciebie. Jestto już skarbem nieocenionym dla każdego serca, jeśli znajdzie taką przyjaźń, jaką ty mi dajesz!

Im więcéj okiem mojem świata zagarniam, tém więcéj przekonywam się, że ludzie dążą co raz bardziéj do wygod tak w świecie rzeczywistym, jako téż w świecie moralnym. Starają się ogładzić wszystkie ostre kanty, które w życiu ranią i niepokoją. Czynią kompromis z dobrem i złem, aby tylko żadnéj walki nie toczyć. Walka to niepokój, drażni i męczy, a któż im wreszcie zaręczy za zwycięstwo tak, jak rządy poręczają spółkom kolei żelaznych pewne procenta od kapitałów wyłożonych? Wolą jeść codziennie jedną i tę samą strawę bez żadnego apetytu, jak dręczyć się pracą w ogrodzie warzywnym, któryby im tyle smakowitych mógł dostarczyć specyałów!...

Taką dziwną wygodę życia widzę prawie u wszystkich tych, którzy mnie otaczają. Głębsze uczucia serca, wyższe interesa społeczeństwa, zdaje mi się, nie istnieją dla nich. A jeśli czasem wypada o nich z konieczności coś mówić, to obwijają według kanonów salonowych, ostre ich kanty uśmiechem ironicznym, ubranym kunsztownie garniturą dowcipu.

Wierzaj mi, nie umiałabym nigdy wystawić sobie tych ludzi w jakich poważnych, dramatycznych sytuacjach życia. Zdaje mi się że nawet w tragedji rzeczywistéj, wzbudzałibysmiech we mnie....

Wyobraź bowiem sobie towarzystwo aktorów, które zmuszone jest odgrywać codziennie farsy i komedjki jednoaktowe. Niech im da kto do odegrania dramat lub tragedją. W najpatetyczniejszych scenach rozśmieszają cię.

Dlaczego? Dlatego, że nie umieją uczuć tych scen, że grą lekką zabili w sobie namiętności; nie mają nawet wyobrażenia, że coś podobnego w życiu człowieka istnieć może! Oni przywykli tylko śmiać się i rozśmieszać drugih, wychodząc z tego założenia, że śmiech jest najlepszą przyprawą życia! Każde inne uczucie jest dla nich niezrozumiałe!

Gdyby śmiech był w istocie najwyższym kwiatem życia, to nikt nie widziałby cierpień bliźniego; nie słyszałby głosu nędzy i głuchym byłby nawet sam Bóg na krzyk bóleści czy to pojedynczego człowieka, czy całego społeczeństwa!... Nie byłoby żadnych, wielkich cnót: słowem nie byłoby żadnych bohaterów!

Według mego zdania śmieje się nieustannie tylko człowiek ograniczony. Uśmiechem swoim pokrywa wszystko, tak jak żebrak jedną długą oponiczą zakrywa dziury i łaty szat swoich.

Śmiech pusty bierze mnie, gdy się obejrzę wkoło siebie i w duchu tym wszystkim co mnie otaczają, rozdram jakiegoś trudniejsze role od ról bezdusznych marynetek!

I tak np. jakby wyglądał w roli markiza Pozy pan Lolek, jak go powszechnie nazywają? Młodzieniaszek ten zaledwie ukończył szkołę, niema wąsów ani brody, ale za to pewien skeptyczny wyraz na twarzy i pewną zgrzybiałość duszy, od której aż zimno bije. Krytykuje wszystko, zaczawszy od kapelusika pani marszałkowej a skończywszy na najnowszych ustawach ludzkich i dogmatach religijnych. Według niego wszystko jest złe i cały świat czeka jakiegoś wielkiego męża, o którym jednak nic bliższego nie mówią. Wątpię aby siebie myślał, choć często ze skromnością podejrzaną oczy spuszcza. Ale wśród tych ironią zaprawionych rozpraw poprawia często angielski kołnierzyk, przymuskuje włosy i stara się pozować jak najwdzięczniej!..

Drugi ze sporo wyłysiałem czy raczej wytartem czołem, przysadkowatą figurą p. Nereusz przedstawia niejako typ tej zagubionej teźyzny, o której dawne pamiętniki z czasów Stanisława Augusta tyle dziwnych opowiadają rzeczy. Jest to uosobiona proza życia z całą swoją brzydką zarozumiałością i pychą, która zdala odstrasza rubaszością i prostactwem! Śmieje on się do rozpuku z wszystkich ideałów

życia, umie wybornie trawestować wszystkie ody i elegie klasyków, powiada bez ogródki, że to tylko jest dobrém, co przynosi zysk namacalny i głośno odzywa się z tém zdaniem, że panna każda o tyle ma dzisiaj wartości, o ile przedstawia pewną cyfrę posagu. Związek małżeński uważa za nieuniknioną konieczność, jeżeli mężczyzna posagu żony potrzebuje.

Przyznam ci się, że mimo jego rubaszności wolę go od papinkowatęj twarzyczki pana Agapita, który wszystko da z siebie zrobić jak manekin malarza. Jaką mu pozę nadasz w takiej wytrwa, aż mu co innego rozkażesz. Na godzinę zmieni się tysiąc razy jak kameleon, stosownie do tego, jakim kto go widzieć pragnie. Ktoś powie że to białe, on przyzna, a za chwilę nie zaprzeczy drugiemu, który twierdzi że to czarne.

— Pan X. jest zły człowiek!—powiada ktoś do niego—opowiadają o nim rzeczy nie nader szlachetnej natury!

— Wszystko prawda—odpowiada pan Agapit—nawet więcej jeszcze powiem! To człowiek brudny....

— Czy znasz pan pana X.?—mówi za chwilę ktoś inny—to bardzo zacny człowiek chociaż ma nieprzyjaciół...

— A któż ich niema?—z słodkim uśmiechem odpiera p. Agapit—pan X. to człowiek jakich szukać...

— Słyszałeś pan, że panna Y. poszła za mąż tylko dla majątku przysługę męża!

— Sam to stwierdzić mogę, bo byłem dosyć blizkim całej téj sprawy!

— Panna Y. to prawdziwa bohaterka! Czy uwierzysz pan że poświęciła się....

— Nie mów mi pan o tém, bo ja sam wiem to lepiej. To osoba tak rzadko pojawiająca się dzisiaj...

— Muzyka Wagnera jest nieznośną! Nieprawdaz?

— Wolałbym słuchać we młynie łoskotu kół!

— Niektórzy wyrządzają krzywdę wielkiemu Wagnerowi! On pierwszy sprowadził muzykę do właściwego stanowiska....

— Słusznie pani mówisz: to człowiek niepospolity! Nie mogę się dość nasłuchać jego kompozycji....

Zdaje mi się, że dosyć jasno odrysowałam ci tego manekina, które go zasady i poglądy są tak gibkie, jak skóra

irchowa wypchana siercią. W niczém ci się nie sprzeciwi, na wszystko uśmiechnie się i zgodzi.

To są mniej więcej główne typy mego otoczenia, które znowu mieszają się między sobą w najrozmaitsze odcienia. Znajdziesz w nich wszystkiego po trochu, ale nie znajdziesz nigdzie człowieka samoistnego, któryby stał na własnych nogach, przyszedł pracą myśli swoich do pewnego zdania o życiu i jego obowiązkach, a któryby przedewszystkiém miał całe, zdrowe serce, posiadał w pełni wszystkie ludzkie namiętności, które właściwie życie stanowią. Ubytek tego wszystkiego zastępuje tam sztuka, która tak się ma do rzeczywistości, jak nakręcana pozytywka do wibrującego głosu w pełnej, żyjącej piersi!

W takim więc otoczeniu trudno jest bardzo, droga Salciu, aby głębsza myśl przyjętą została bez uśmiechu. Dlatego kocham cię teraz w dwójnasób, żeś odrazu nastroiła się do mego tonu: sprawia mi to niemałą radość.

A z drugiej strony, jakież przykre uczucie ogarnia serce moje, gdy sobie przypomnę, że może właśnie w tém otoczeniu będę musiała wybierać i takiemu wybranemu oddać całe życie moje?...

XV.

w końcu grudnia.

Nadzwyczaj trudne dałaś mi zadanie. Widzę teraz, że byłam podobną do rozkapryszonego dziecka, któremu piastunka najrozmaitsze okazuje rzeczy, a które na wszystko odpowiada: nie chcę!

— Czegoż więc chcesz?—pyta w końcu piastunka.

I ty kochana Salciu zapytałaś mnie w podobny sposób. Powiadasz mi, że już wiesz czego ja nie chcę i żądasz wiedzieć odemnie, czego właściwie chcę!...

Przyznam ci się, że to niespodziane zapytanie trafiło mnie nieprzygotowaną.

Gdy się świata nie widzi, wtedy w samotności tworzymy sobie ten świat, stwarzamy ludzi i sytuacje. Mamy zawsze w zapasie jakieś gotowe idealiki, którymi pieścimy się do czasu.

Jeżeli zaś wejdziemy na szerszy świat, to los naszych idealików może być dwojaki. Albo zostawiamy je w osamotnieniu ustroniu naszego życia, jak zostawia dziecię najpyszniejsze lalki swoje, gdy wychodzi na pensyą: albo bierzemy je w świat z sobą, ukrywamy je starannie w naszym podróżnym węzłku.

Wtedy na każdej stacyi życia wyjmujemy ukryty starannie idealik, i porównujemy go z otaczającym nas towarzystwem. Rozumie się, że otaczające nas towarzystwo różni się wielce od tego idealiku. Jeżeli nas to częste porównywanie znuży, tłuczemy z bólem serca ten niezdarny idealik i wyrzucamy go od siebie. Jestto dla serca czas najniebezpieczniejszy... bo wtedy bez warunków podpisujemy kapitulacyą, chociażby nawet nie była bardzo honorową!...

Gdy zaś bez tego idealiku w świat wchodzimy, wtedy zatrzymujemy się chwilę przed każdym, który również przed nami stanie i pytamy według usposobienia naszego, główki lub serca: Czy ten? Nie ten, odpowiada główka albo serce i idziemy dalej.

Otóż na wszystkie moje teraźniejsze spotkania odpowiedziałam sobie: Nie ten! Wiem więc czego nie chcesz, a ty rzucasz mi pytanie: Czego więc chcesz?

Czy mamże w odpowiedzi na to zapytanie wydobyć z teki pensyonarskiej pozostawiony tamże idealik, którego najgłówniejszą zaletą były jasne kędzierzawe włosy, *en poète* starannie ufryzowane, wąsik fiksatuarem do góry podniesiony i śnieżnej białości kołnierzyk *en enfant*!...

Nie, tego nie uczynię, bo nigdy cofać się nie lubię. Ale tém trudniejszą jest dla mnie odpowiedź.

Dotąd żyje ten ideał we mnie, tylko negacyą tego co widzę. Czuję go biciem serca, dotykam się go każdym westchnieniem, otulam skrzydłami duszy... ale go nie widzę, nie wiem jak wygląda! Wiem, że jest we mnie, zwinięty jak motyl, ale skrzydeł jeszcze nie rozprzestrzenił, nie przeleciał mi przed oczyma, choć go tak pragnę obaczyć!...

W jaki więc sposób odpowiem tobie: czego chcę właściwie?...

XVI.

Ostatni grudnia.

Dzisiejszego dnia, zamykając rachunek całego roku, myślałam nad odpowiedzią, którą tobie winna jestem. Pytałaś mnie, czem ma być ten, któremu całą przyszłość moje powierzę?

Nad tą odpowiedzią myślałam dzień cały, ale myślałam na próżno.

Późną nocą przyszliśmy do domu, z wieczoru u pani marszałkowej.

Mówiono tam wiele o spirytystach w Ameryce. Przez całą drogę brzęczała mi w uszach ta dziwna rozmowa i nastrojała mnie w sposób wyjątkowy.

Udałam się na spoczynek. Księżyc świecił jasno na niebie i przez białe, przezroczyste firanki przebijał, sine światło swoje malując na posadzce w najrozmaitsze arabeski.

Wyobraźnia moja była rozdrażniona opowiadaniem o spirytystach.

— Czemuż—pomyślałam sobie—jeśli to być może, nie stanie mi w tej chwili przed oczy ten, któremu mam kiedyś oddać całe życie moje? Czemuż choć na chwilę nie zajrzę w twarz jego i z niej nie wywrózę sobie o przyszłym szczęściu mojem? Czemuż dotąd ma on być ciągle owym nieznanym, któremu już dzisiaj serce ulega?

Tak myślałam sobie patrząc na oświecone światłem księżycy arabeski firanek.

Na ulicy było głucho i smutno. Lekki, zmęczony wiatr sunął się zwolna po śniegiem zawianej ziemi i tylko czasami uderzał o niedopartą szybę okna, lub obracał nad sklepem godło blaszane rzemieślnika... Czasami, tam z dalei dochodził głos trąbki nocnego stróża, który niewidzialnemu towarzyszowi dawał jakieś umówione, tajemnicze znaki...

Wszystko to dziwnie mnie usposabiało. Na oczy moje nasunęła się jakaś ciężka ale przezroczysta zasłona, przez którą wszystko mogłam wygodnie widzieć. Nie powiem, żem spała i śniła. Słyszałam wyraźnie szklanny dźwięk okna, gdy wiatr o nie uderzał, słyszałam skrzyp blachy

żelaznej, wyobrażającej koronę niemiecką, która w sposób przerażający zwiastowała całej okolicy istnienie swoje jako symbol arystokratyczny głównego wyszynku piwa... wszystko to słyszałam z wszelkimi odcieniami!

W tej chwili na jasnym tle firanek, narzuconym różnymi arabskimi zaczęła się rysować jakaś postać...

Dobrze jej opisać nie umiem. Był to jakiś szkic niewyraźny....

Postać ta podobną była do człowieka, który idzie pod górę. Wiatr od góry rozwiewał długie włosy jego i szatom odpowiednio także nadawał draperye...!

Uderzona tym zjawiskiem otworzyłam szerzej oczy aby lepiej dojrzeć, ale zjawisko zniknęło.

Podniosłam głowę z poduszki i obejrzałam się z niejaką trwogą, ale oraz z rokosznie bijącym sercem po wszystkich kątach mego pokoju...

Wszędzie było pusto. Księżyc świecił tak samo przez okno, i zawiłe arabski firanek odtwarzał na błyszczącej posadzce. Wiatr trącał ustawicznie o szybę, a korona niemiecka skrzypiała nad sąsiednim szynkiem.

Nademną wisiała kopja sławnego obrazu: przejście Napoleona przez Alpy.

Na ten obraz spojrzałam w tej chwili. I dziwna myśl przyszła mi do głowy. Postać ujrzana na białym tle firanek, miała niejaki podobieństwo do tej pnącej się na koniu do góry postaci wielkiego człowieka! Osobliwie draperya sukni wiatrem unoszonej, dziwne miała podobieństwo...

Czy to było jakie optyczne złudzenie? Czy obraz ten dziwną grą światła ze ścianą nademną, przeszedł na firanki u okna i tam odbił się w sposób tajemniczy?

Nie mogłam sobie tego wytłumaczyć, ale dziwne to zjawisko wzięłam sobie za temat następnych marzeń moich! Widziałam w tym nawet jakiś dziwny związek ze spirytyzmem!

Bądź co bądź, miała to zawsze być wskazówka tego, którego tak gorąco pragnęłam obaczyć...

I cóż miał oznaczać ten mglisty, niewyraźny rysunek?

Co raz jaśniej, co raz wyraźniej zaczął mi się przed oczyma duszy rysować mój ideał...

Miał to być w każdym razie człowiek, który nie leży gnuśnie na miejscu, gdzie go przypadek rzucił, ale który

gdzieś idzie, gdzieś dąży, do czegoś wyższego wspina. Przed nim góra nieprzebyta, a nawet wiatr od góry tamuje kroki jego. On walczy i dobywając sił ostatnich dąży naprzód... Tam na szczycie góry uśmiechają się do niego wieńce z kwiatów... Tam wejść razem z nim i te wieńce położyć mu na głowę...

I powoli rozjaśniała mi się myśl téj wizyi. Ideał mój powinien być człowiekiem jakiegoś czynu. Temu czynowi powinien poświęcać życie swoje, a jabym wtedy z rozkoszą nieokreśloną do jego życia dorzuciła połowę mego życia, połowę serca i duszy... i tak przeięci jedném uczuciem, natchnieni jedną myślą szlibyśmy, co raz dalej, co raz więcej.

Taka myśl ogarniała z wolna całe serce, całą duszę moją... Roztopiłam się cała w téj myśli i z jakąś niewysłowioną rozkoszą zaczęłam tracić zmysły moje! Nie widziałam już arabesków na tle firanek, nie widziałam sinego światła księżyca, który ślniącą posadzkę ubierał w perskie dywany.... nie widziałam nawet już obrazu Napoleona, gdy z wzdętym od wiatru płaszczem przebywa niebotyczne Alpy.... słowem nic a nic nie widziałam z tego, co mnie przed chwilą otaczało... ale widziałam za to teraz dziwne rzeczy.

Człowiek, o którym przed chwilą marzyłam, wystąpił nagle z ciemnego tła i stanął przedemną. Jak wyglądał? Nie wiem. Silne wrażenia nie pozwalają nigdy zająć się szczegółami. Wiem tylko że na widok jego, rozkosznie uderzyło mi serce, a dusza napoiła się dziwném, niezaznaném dotąd uczuciem!... Dziwną potęgą woli i nieugaszonego pragnienia przyciągałam go zwolna do siebie.... a on zbliżał się do mnie... zbliżał się coraz więcej z wejrzeniem przykutém do moich oczu.... Wreszcie uczułam na moich ustach gorący pocałunek i z nadmiaru szczęścia przestałam prawie żyć....

Tak, rzeczywiście. To był pocałunek mego ideału, był zakład z mojej strony, że mu zostanę wierną do śmierci! Nie mnie od niego nie odłączy, bo bez niego nie ma dla mnie życia! Kobieta ślubuje sercem, a serce to ona! Ślubowałam wierność memu ideałowi, czy go znajduję na ziemi?

Cokolwiekbyś nastąpi, ty już masz odpowiedź na twoje zapytanie!

XVII.

ALFRED DO NEREUSZA.

Paryż, grudzień.

Witam cię królu nasz na ziemi Saskiej, bądź pozdrowion imieniem tych, którzy pamięć twoją czczą nieustannie pełnym kielichem i nieustającą adoracją pięknej połowy rodzaju ludzkiego!...

Witam cię śmiały pogromco serc kobiecych, który do boju stajesz z otwartością godniejszą lepszej sprawy, gardząc wszelkimi kramkami dyplomatycznymi jak ongi Napoleon Wielki!.....

Witają cię przezemnie, jako naturalnego reprezentanta wszystkie owe zakapturzone kapłanki z bulwarów włoskich, które pozują i które wcale nie pozują! Witaj nam! Po trzy kroć witaj nam!

Pytasz mnie zkąd nagle taki oratorski talent wziął się we mnie? Na to odpowiadam ci, że z potrzeby. Trzeci bowiem dzień siedzę w domu jak trapiści, a wszystko to co mnie otacza, woła do mnie: *memento mori*!

Najprzód wymówił te słowa brodaty eskulap z miną tajemniczą. Powiedział mi wyraźnie, że żyję z kapitału życia, a jeżeli nie ograniczę się na procentach, to kapitał się wyczerpie, zbankrutuje, to jest: umrę!

Potém to samo, tylko w sposób więcej obrazowy powiedziała mi flaszka z medycyną, na której przeczytałem złowieszcze słowa: *lichen islandicum* i inne jakieś zioła z przydomkiem *pectorale*!...

Głupi eskulap! On myśli że łacińska jego kuchnia pomoże co na to, jeśli ktoś trzy dni spełna biesiadował u *Petersa*, a trzy nocy w liczniejszym towarzystwie w służbie Bachusa i Sytyrów przesiedział w owych cudownych *cabinet-canapée* u *Vacheta*! Mówię ci, jedna taka biesiada wystarcza za wszelkie marcepany matrymonialnego szczęścia!..

Otóż, *à propos* szczęścia matrymonialnego, przypominam sobie, o czém właściwie chciałem dzisiaj pisać do ciebie. Już dawno ułożyłem sobie zająć cię moją korespondencją,

ale zawsze do dobrych chęci zabrakło mi czasu. „Czas jest złoto“ powiada anglik, a ja powiadam, że czas jest czémś więcej: jest rozkoszą!

I nie wiem kiedybym mógł tę chwilę bezużytecznego czasu wynaleźć, gdyby nie eskulap, który mnie na kilka dni zamknął w pokoju moim, strasząc nieustannie owém złowieszczem słowem: *memento mori*!

Na tych więc rekolekcyach przychodzą mi różne myśli do głowy. Przypominam sobie, com komu winien, a kto mi jest dłużny. Przypominam sobie, com komu przyobiecał, a nie dał, gdzie jaki weksel podpisałem a dotąd nie zapłaciłem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

